T R Z E Ź W O Ś Ć
MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY, POŚWIĘCONY SPRAWIE WALKI
Z ALKOHOLIZMEM I INNEMI NARKOMANJAMI,
ORGAN POLSK. T-WA WALKI Z ALKOHOLIZMEM „TRZEŹWOŚĆ",
POL. KOMITETU DO SPRAW NARKOTYKÓW I ZAPOBIEGANIA NARKOMANJI,
ABSTYNENCKIEJ LIGI KOLEJOWCÓW,
KOŁA LEKARZY ABSTYNENTÓW
I WILEŃSKIEGO TOWARZYSTWA WALKI Z ALKOHOLIZMEM
I INNYMI NAŁOGAMI „MENS".
Pod redakcją JANA SZYMAŃSKIEGO.

Nr 11—12 ZA LISTOPAD i GRUDZIEŃ — 1937 Rok XII

STULECIE ZORGANIZOWANEJ WALKI Z ALKOHOLIZMEM W POLSCE.

(Przemówienie, wygłoszone dn. 18.XII. 1937, na uroczystości zamknięcia XII. Kursu Alkohologji w Państwowej Szkole Higjeny w Warszawie).

W swej pięknej, przepojonej bólem patrjotycznym, pracy p. t. „Z dziejów obyczaju w Polsce", nakreśliła nam p. *Hanna Nałęcz-Ostrowska Szymańska* wstrząsający obraz stopniowego opanowywania mózgów polskich przez straszliwą truciznę alkoholową, której działanie w postaci zaniku ducha publicznego, sumienia, poczucia godności osobistej i honoru narodowego, wreszcie tężyzny umysłowej i moralnej wśród warstwy panującej w Polsce przedrozbiorowej, musiało wydać opłakane dla naszej Ojczyzny skutki i zaciążyło tak fatalnie na jej losach — z drugiej strony przedstawiono nam w tej książce wysiłki szeregu zacnych i światłych obywateli, którzy chcieli klęsce tej kres położyć i wstrzymać Ojczyznę umiłowaną, w przepaść się staczającą, na jej skraju. Długi szereg tych mężów od *Ostroroga, Skargi, Starowolskiego,* do Jezierskiego i Staszica zamyka *Jan Chodźko,* który w wydanej w r. 1824 książeczce popularnej p. t. „Pan Jan ze Swisłoczy", uznanej przez Uniwersytet Wileński za pożyteczną dla szkół parafjalnych, a pierwszej zapewne popularnej publikacji polskiej, związanej z walką z alkoholizmem, pisał:

> „ze wszystkich klęsk, wyniszczających rolnictwo, pijaństwo jest najokropniejszą, nigdy się albowiem nie kończy i z pokolenia do pokolenia przechodząc, coraz okropniejszą nędzę w najludniejszy stan społeczności wprowadza".

Usiłowania i starania tego patrjotycznego grona nie dały jednak wyników, jakich się spodziewano, zapewne dlatego, że walczyły jednostki, pozostawione samym sobie, „tragicznie osamotnione" wśród rozpasanej i nie znającej żadnego hamulca masy szlacheckiej, trzymającej w swych rękach rządy w Polsce.

*
* *

Nie rozumiano jeszcze wówczas nie tylko w Polsce, ale i zagranicą, że dla opanowania klęski masowej, jaką jest alkoholizm, potrzebne jest działanie zorganizowane i masowe.

Właśnie w roku bieżącym przypada setna rocznica powstania na ziemiach polskich takiego typu organizacji: w dniu 3 sierpnia 1837 r. odbyło się w małem miasteczku pomorskiem, Sztumie, pierwsze zebranie Towarzystwa Wstrzemięźliwości, liczącego 367 członków. Towarzystwo to rozwijało się tak pomyślnie, że w końcu 1839 r. liczyło już 687 członków; za przykładem Sztumu poszedł cały szereg miasteczek pomorskich, a w r. 1838 w Toruniu powstały odrazu dwa towarzystwa, z których jedno było zrzeszeniem abstynenckiem, a drugie—zrzeszeniem wstrzemięźliwości; w niedługim czasie powstały towarzystwa wstrzemięźliwości w innych miastach pomorskich np. w tymże r. 1838 w Nowem Mieście, w r. 1840 w Chełmży etc.

W Poznańskiem pierwsze usiłowania zorganizowania zrzeszeń wstrzemięźliwości zjawiły się nieco wcześniej jeszcze, bo pod koniec 1836 roku, jednakże dopiero w ciągu 1837 roku ruch ten przybrał większe rozmiary; w listopadzie tego roku utworzyło się 11 takich towarzystw, w szczególności w powiatach śremskim, pleszewskim, bnińskim i olsztyńskim; w r. 1838 utworzyło się towarzystwo wstrzemięźliwości w Gnieźnie, w r. 1840 zorganizowano Centralne Towarzystwo do wytępienia używania wódki w Poznaniu. Najczynniejszym inicjatorem tych zrzeszeń był lekarz powiatowy *dr. La-Roche*, urzędujący zrazu w Zbąszyniu, potem w Bninie; wydawał on pismo propagandowe polskie p. t. „Zwiastun Wstrzemięźliwości“ i kilka analogicznych czasopism w języku niemieckm. Ruch ten, którego punktem wyjścia był okólnik pruskiego ministra spraw wewnętrznych z dn. 11 marca 1837 r., kierowany narazie przez urzędników i pastorów pruskich, nie rozwijał się dotąd wśród ludności polskiej, dopóki duchowieństwo katolickie nie ujęło go w swe dłonie; *dr. La-Roche* w r. 1845 skarży się publicznie, że wśród duchownych ewangelickich zaledwie jednostki stawają do walki o trzeźwość, podczas gdy duchowni katoliccy wszyscy, z wyjątkiem jednego, którego uważano za nie spełniającego swego obowiązku, wzięli udział w tej zbożnej pracy — to też w marcu 1845 r. stwierdza *La-Roche:* „nie mylę się, jeżeli sądzę, że już 200.000 Polaków wyrzekło się alkoholu“; w sierpniu tegoż roku liczbę tę oceniano już na 300.000 osób *); liczba druków propagandowych, wysyłanych w Poznaniu pocztą, doszła do 200.000 rocznie; były one zwolnione od opłat pocztowych.

Na Śląsku Górnym podjęło walkę duchowieństwo katolickie w marcu 1844 r.; pierwsze towarzystwo wstrzemięźliwości powstało tu w Wielkich Piekarach dzięki inicjatywie *ks. Ficka* i franciszkanina *o. Stefana Brzozowskego,* który objeżdżał z propagandą trzeźwości cały Śląsk i pozyskał już w sierpniu 1844 r. około 185.000 członków dla swego towarzystwa; w lipcu znalazł się on w Raciborzu — napływ kandydatów był tak wielki, że już pierwszego dnia 3.000 osób złożyło ślubowanie wstrzemięźliwości w polskim kościele parafjalnym na ręce ks. Brzozowskiego.

---

*) Pastor niemiecki, *dr. Stubbe*, z którego pracy p. t. „Einige geschichtliche Erinnerungen aus der Zeit der älteren Mässigkeits und Enthaltsamkeitsbewegung in Polen“ (Forschungen zur Alkoholfrage — 1937. Nr. 3—4) korzystam, zaznacza z godną uznania bezstronnością: „Takie świetne wyniki mogły być osiągnięte jedynie z pomocą duchowieństwa katolickiego“.

Wogóle zpośród 930.000 mieszkańców ówczesnego Górnego Śląska około 500.000 wyrzekło się alkoholu. W związku z tym masowym ruchem ludowym dochody skarbu pruskiego z tytułu podatku od trunków zaczęły gwałtownie spadać; w pierwszych czterech miesiącach 1845 roku ubytek wynosił 150.582 talary (całoroczny dochód skarbu z tego podatku wynosił 998.751 talarów), co oczywiście wzbudziło silne zaniepokojenie pruskiego ministerstwa skarbu; gdy poprzednio w małych miasteczkach śląskich sprzedawano w dniach targowych po 10—12 garncy wódki, obecnie sprzedawano zaledwie tyleż kwaterek.

Błogosławiony skutek tej zmiany nastrojów ludności był oczywisty i szybki: lekarz regencji opolskiej, *dr. Lorinser* oświadczył urzędowo, że ilość chorób i nagłych zgonów znacznie spadła, dobrobyt wzrósł, wykroczenia i przestępstwa zmniejszyły się; już w dniu 29 czerwca 1844 r. prezes regencji opolskiej wyraził duchowieństwu katolickiemu Śląska i innym działaczom abstynenckim urzędowe podziękowanie.

W roku 1846 pruski minister spraw wewnętrznych zaznacza w swojem sprawozdaniu: „W tej prowincji (na Śląsku) w ciągu zeszłego roku zniesiono 18 gorzelni, 108 przestało zupełnie pracować, a podatek z okowity zmniejszył się o 254.489 talarów“ (w/g. *Ks. K. Niesiołowskiego* — VII Polski Kongres Przeciwalkoholowy — Warszawa 1929 r. [1]).

Burzliwy rok 1848 spowodował załamanie się ruchu abstynenckiego; szczątki organizacji abstynenckich przetworzono w bractwa wstrzemięźliwości; dalsze usiłowania, podjęte w r. 1868 przez Kardynała Ledóchowskiego, arcybiskupa gnieźnieńsko-poznańskiego, celem ożywienia i wzmożenia działalności tych bractw, nie dały wyników.

*

* *

W części Polski, pozostającej pod panowaniem austjackiem, najsilniej klęską alkoholizmu dotknięty był Śląsk cieszyński, ztąd też rozpoczął się przedewszystkiem ruch wstrzemięźliwości, którego punktem wyjścia była wydana w r. 1833 książeczka propagandowa pastora *Karola Kotschy'ego*, p. t. „Gorskie Kapki“, oraz działalność dziekana Cieszyńskiego, *ks. Józefa Paducha (Broda J.* „Z historji ruchu przeciwalkoholowego na Śląsku przed 100 laty — X Polski Kongres przeciwalkoholowy—Warszawa 1935 [2]). Gmina Istebna była pierwszą, której mieszkańcy wypowiedzieli się przez głosowanie za zupełną abstynencją w r. 1842 — urzędowa „Gazeta Lwowska“ w dwa lata później pisała: „szynki opustoszały, zamożność i dostatek wzrosły“; pierwsze bractwo trzeźwości powstało w Ustroniu w r. 1844, dalej w Wiśle, Cieszynie, w Nawsiu, Bielsku i t. d. Ze Śląska Cieszyńskiego ruch rozszerzył się na sąsiednią Galicję, przedewszystkiem na najbliższe Bielska miasteczko Białę, gdzie w przeciągu krótkiego czasu zgórą 1000 osób, czyli prawie szósta część całej ówczesnej ludności tego miasteczka, wyrzekła się wódki, a dalej na Kęty, Żywiec, Witkowice; w ciągu r. 1845 ruch wstrzemięźliwości opanował powiat wadowicki, bocheński, tarnowski, rzeszowski, przemyski — objął więc prawie całą Galicję od Białej na zachodzie po Kołomyję na wschodzie. Wspomniany już przez nas poprzednio dr. *La-Roche*

---

[1]) „Walka z Alkoholizmem“. Rok VII. 1929.

[2]) „Walka z Alkoholizmem“. Rok XI. 1935.

pisał w tymże roku 1845: „w Krakowskiem reforma jest właśnie zakończona. Oby tak się stało i w Niemczech".

Obok duchowieństwa, które pracowało najusilniej nad rozwojem ruchu abstynenckiego *(ks. Karol Antoniewicz)*, do pracy stanęli niektórzy obywatele ziemscy *(hr. Potocka w krakowskiem, p. Morska w obwodzie przemyskim)* i wielu włościan. Z chwilą wybuchu rzezi galicyjskiej w r. 1846, a następnie ruchów politycznych 1848 r. i związanych z nimi represji, cały ten świetnie rozwijający się masowy ruch wstrzemięźliwości zanikł; w r. 1857 pisał *Böttcher* (Mässigkeits — Boten für Stadt und Land — 1857 Nr. 8): „wszystkie te piękne nadzieje zostały zniszczone, wszystkie wysiłki i wyniki, osiągnięte wśród ludu, znowu przepadły. Towarzystw trzeźwości, których rozpowszechnienie w Galicji przed 12 laty było bardzo wielkie, obecnie prawie nigdzie już nie można odnaleźć, a wódka stała się nanowo „zupą" wieśniaka".

*

* *

W Królestwie Kongresowem pod okupacją rosyjską za przykładem innych dzielnic Polski ruch trzeźwości zaczął się po 1831 roku, napotykając jednak bardzo wiele przeszkód ze strony władz; między rokiem 1836 a 1838 rząd zakazał zakładania towarzystw wstrzemięźliwości, a istniejące rozwiązał, powodowany obawą o zmniejszenie się dochodów z podatku od spirytusu z jednej strony, zaś niechęcią do wszelkiego tworzenia jakichkolwiek stowarzyszeń na terenach polskich z drugiej. Stłumiony narazie ruch wstrzemięźliwości ożywił się jednak nanowo w latach pięćdziesiątych zeszłego stulecia, korzystając z bardziej liberalnych rządów w pierwszych latach panowania Aleksandra II; pod dn. 16 stycznia 1859 r. pisze „Breslauer Zeitung" w korespondencji z Warszawy: „Zauważyliśmy niedawno, jak skutecznie Kościół rzymsko-katolicki w Polsce wystąpił przeciw ogólnie i szeroko rozpowszechnionemu spożyciu wódki i stwierdziliśmy, że w związku z kazaniami księży znikło b. wiele gorzelni. Obecnie dowiadujemy się, że naskutek doręczonych mu skarg rząd zabronił księżom wygłaszać nadal tego rodzaju kazań z ambony. Biskupi zwołują tu i owdzie zebrania księży ich djecezji, ażeby wspólnie omówić najlepsze sposoby obrony przeciw tak brutalnemu wtargnięciu w ich prawa; księża, którzy prowadzą propagandę na rzecz bractw wstrzemięźliwości, są zagrożeni przez naczelników powiatów karami pieniężnemi, gdyż naskutek ich działalności gorzelnie ponoszą znaczne straty".

„W tych dwuch latach, które były przygotowaniem do powstania styczniowego, mianowicie w roku 1861 i 1862 — pisze *ks. Niesiołowski*, ruch przeciwalkoholowy i przeciw gorzelniany szerzył się. Kronika wspomina, że niektórzy właściciele ziemscy pod wpływem tego prądu narodowego, w którym duchowieństwo brało wybitny udział, dobrowolnie zamykali gorzelnie; między innemi w dobrach Tyszkiewicza zamknięto w ciągu jednego roku kilkadziesiąt gorzelni". Okrutne represje rządu rosyjskiego, które po upadku powstania styczniowego nastąpiły, oraz odebranie Królestwu Kongresowemu resztek jego samodzielności politycznej przez Aleksandra II, sprowadziły zupełny upadek parafjalnych

bractw wstrzemięźliwości i ruchu abstynenckiego wogóle na długi szereg lat.

*

* *

Naszkicowana tu zaledwie historja masowego ruchu trzeźwości na ziemiach polskich, która dotąd, niestety, nie doczekała się źródłowego opracowania, na jakie bezsprzecznie zasługuje, nasuwa jeszcze pewne refleksje. Ruch ten zjawia się na ziemiach naszych prawie nagle i szerzy się błyskawicznie w okresie między rokiem 1830 a 1848 zarówno w miastach, jak wśród ludu wiejskiego i nagle zapada się w nicość po r. 1848, w Królestwie Kongresowym po roku 1863. Dociekając przyczyn jego upadku *doc. Wojtkowski* („Z dziejów ruchu przeciwalkoholowego w w. XIX", X Polski Kongres Przeciwalkoholowy—Warszawa 1935 [1]), wyraża pogląd, iż główną przyczyną była sprzeczność wewnętrzna w tym ruchu się zaznaczająca: „bractwa wstrzemięźliwości wymagały abstynencji od wódki i innych napoi przepalonych, w stosunku zaś do wina, piwa i tym podobnych napoi żądały tylko umiarkowania".

Pogląd ten jest w pewnej części słuszny, ale nie da się zaprzeczyć, że praktycznie ujmując tę sprawę, wobec ówczesnego stanu ekonomicznego ludu, szło przedewszystkiem o zwalczanie spożycia wódki — gdyż nie mogło być mowy o tem, aby lud mógł pić wino, a i piwo było niewątpliwie dla niego pewnym luksusem — przecież i dziś jeszcze masowe spożycie piwa stoi daleko wtyle poza spożyciem wódki u nas. Dlatego ci nasi tak bardzo zasłużeni przodkowie, którym szło niewątpliwie o koncentrację wysiłku i wyniki praktyczne, walczyli przedewszystkiem ze spożyciem wódki i z gorzelniami—że mieli słuszność, dowiodły doskonałe wyniki ich pracy na terenie, dlatego trudy ich winniśmy ze czcią wspominać i należycie oceniać. Nie należy, jak sądzę, zapominać, że towarzystwa wstrzemięźliwości powstały i rozkrzewiły się bujnie u nas w epoce między ruchami wolnościowymi europejskimi i polskimi r. 1830—1831, a takimiż ruchami roku 1846—1848, zatem w epoce ogólnego podniesienia ducha i rozbudzenia nadziei i wiary w bliskie już wyzwolenie narodu; naród nasz, znajdował się w nastroju psychicznym szczególnym, jaki już się później nie powtórzył przez całe dziesiątki lat, wypełnionych represjami zaborców, z któremi nie wytrzymują porównania żadne poprzednie klęski i prześladowania; z tego nastroju klęskowego i poczucia niższości przecież i dotąd jeszcze nie zdołaliśmy się całkowicie otrząsnąć, pomimo powstania Państwa Polskiego, jego świetnego rozwoju. Przyczyn istotnych upadku ruchu wstrzemięźliwości na ziemiach polskich dopatrywać się więc należy przedewszystkiem na wewnątrz w załamaniu się psychicznem społeczeństwa polskiego i zewnętrznych represjach zaborców. Na szczególną wdzięczność i uznanie zasługuje duchowieństwo katolickie wszystkich naszych dzielnic, które umiejętnie i z całem oddaniem się sprawie zużytkowało nastroje społeczne dla podjęcia i przeprowadzenia zwycięskiej walki o wyzwolenie narodu z więzów alkoholizmu, niszczącego jego siły żywotne i rujnującego podstawę jego bytu, a hamującego jego wyzwolenie polityczne.

*

* *

[1]) „Walka z Alkoholizmem". Rok XI. 1935.

Pozostawałoby jeszcze odpowiedzieć na pytanie, dlaczego zorganizowaną i masową walkę z alkoholizmem powzięto u nas tak stosunkowo późno. Odpowiedź na nie znajdujemy w pracy *dr. Hercod* („Historja ruchu przeciwalkoholowego“ — Alkohologja — Warszawa 1928), który mówi:

„O ruchu przeciwalkoholowym można mówić naprawdę dopiero w chwili, kiedy z początkiem ubiegłego wieku, w r. 1808, utworzyło się towarzystwo przeciwalkoholowe w Moreau, w Stanie New-Jorku“, zaś pierwsze towarzystwo zupełnej abstynencji utworzyło się w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej dopiero w r. 1826; w Anglji w r. 1832 grupka, złożona z siedmiu robotników, założyła w Preston towarzystwo zupełnej abstynencji, co dało początek ruchowi wstrzemięźliwości w tym kraju; w tej samej epoce w Irlandji kapucyn *o. Mathew* wywołuje entuzjastyczny ruch wstrzemięźliwości wśród mas ludowych; za jego przykładem idzie *ks. Seling*, który analogiczny ruch masowy wywołuje w prowincjach nadreńskich Prus“.

Wszystkie te fakty dowodzą, że ziemie polskie godnie dotrzymywały kroku innym krajom kulturalnym w ich walce z alkoholizmem.

W. Chodźko.

STATYSTYKA KRYMINALNA, A GENEZA PRZESTĘPCZOŚCI NA TLE ALKOHOLIZMU.

(Referat wygłoszony na „Dekadzie Trzeźwości“).

Posługiwanie się danemi statystycznemi w dziedzinie kryminologji, podobnie, jak w innych dziedzinach wiedzy ludzkiej, natrafia w opinji wielu autorów na poważne zastrzeżenia. Zarzuca się przedewszystkiem tej metodzie, że na miejsce osobistego doświadczenia badawczego wprowadza inny, jeszcze mniej przekonywujący, moment, a mianowicie sposób liczbowego ustalania hierarchji w częstotliwości i ważności spostrzeganych w pewnym zakresie zjawisk.

Podczas, gdy pierwsze stanowi syntezę stopniowo zbieranych i świadomie, czy podświadomie układanych wrażeń, które — choć subjektywnie zabarwione — bywają dość często bliskie rzeczywistej prawdy, drugie opiera się jakoby na abstrakcyjnych i nie zawsze łatwych do sprawdzenia obliczeniach, które mimo pozornej nieomylności cyfr, mogą wprowadzić na bezdroża. Ma to miejsce szczególnie przy niedostatecznem uwzględnieniu możliwych usterek podczas dokonywania statystyki, na skutek wyprowadzenia wniosków liczbowych ze zbyt małej ilości obserwacji, skupiania przypadków dobranych, oraz bezwzględnego naginania rzeczywistości do apriorystycznych koncepcyj przez nierównomierną ocenę poszczególnych spostrzeżeń i t. d.

Przeprowadzenie badań w sposób jednolity i możliwie dokładny z uwzględnieniem wszelkich okoliczności, mogących mieć wpływ w pewnym zakresie zjawisk, pozwoli uczynić zadość najsurowszym wymogom metodyki statystycznej. Wreszcie przekazanie zebranego w taki sposób materjału do opracowania według wspólnie ustalonego w taki sposób

planu, przyczyni się do możliwego usunięcia wszelkiego subjektywizmu przy formowaniu ostatecznych wniosków.

Słuszny jest pogląd prof. M. E. Hacker'a [1]), że wartość statystyki, jako metody badawczej, nie zmniejsza się przez to, że materjał statystyczny jest może niecałkowicie wolny od tych czy innych drobnych niedokładności, czego przecież nieda się uniknąć nawet i w najidealniejszych warunkach.

Prof. Amsterdamskiego Uniwersytetu M. Van Hamel, założyciel „Związku Międzynarodowego Prawa Karnego" (Union internationale de droit pénal) rozpoczął pracę w kierunku stworzenia porównawczej statystyki przestępczości, dotyczącej również Państw Europy Zachodniej.

Wszystkie powyższe prace statystyczne były osnute wyłącznie na danych cyfrowych, zaczerpniętych z kartotek karnych i do pewnego stopnia z badań kryminalno-biologicznych, dokonywanych nad więźniami.

W r. 1935 w Niemczech zostały zbadane 124 sprawy, w których w ciągu 1928, 1929 i 1930 r. zapadły prawomocne wyroki, na mocy których oskarżeni o umyślne zabójstwo byli skazani na karę śmierci.

Badanie powyższych spraw zostało przeprowadzone w trzech kierunkach: a) *względem zabójcy:* płeć, pochodzenie, wiek, stan rodzinny, wyznanie, poddaństwo, stopień wykształcenia, poprzednia karalność, poprzedni tryb życia (pobyt w zakładzie poprawczo-wychowawczym), b) *względem faktu dokonanego morderstwa:* czyli przestępstwa sposób i środki popełnionego zabójstwa, motywy i pobudki, skutki czynu; c) *względem ofiary przestępstwa:* płeć, wiek, stan rodzinny, zawód, zajęcie, stosunek ofiary do przestępcy.

Jeżeli chodzi o nasze polskie stosunki, to odpowiednie badania nad zabójstwami, popełnionemi przez kobiety, przeprowadził na podstawie około 150 akt sądowych prof. Dr. W. Grzywo-Dąbrowski, ogłaszając wyniki tych badań w referacie ogłoszonym na posiedzeniu Sekcji Medycyny Sądowej i Kryminologji XV Zjazdu Lekarzy i Przyrodników Polskich we Lwowie w lipcu r. 1937. Z ramienia Zakładu Kryminologji Uniwersytetu im. J. Piłsudskiego mgr. Paweł Horoszewski, prowadzi badanie akt sądowych, dotyczących zabójstw, dokonanych pod wpływem silnego wzruszenia duchowego.

Według zdania prof. E. Rösner'a [2]) nowożytna kryminalna statystyka niemiecka, opracowana na wyżej przytoczonych zasadach, dąży, za pomocą dokładnych badań prawomocnych sądowych wyroków do wkroczenia w psychologję i socjologję zabójstw i zgromadzenia nowego i cennego materjału dla teoretycznych i praktycznych prac kryminologicznych. Prof. M. Hacker [3]) twierdzi, że statystyka zabójstw opracowana według powyższego wzoru niemieckiego, przez kulturalne państwa europejskie i pozaeuropejskie miałaby szczególnie doniosłe znaczenie w dziedzinie badań genezy morderstwa, tej najcięższej zbrodni należącej do tych niewielu niestety przestępstw, które przez wszyst-

---

[1]) Statistique Comparée internationale. Revue internationale de Droit pénal 1936 r.

[2]) Der Mord, sein Täter. Motive und Opfer Berlin 1937.

[3]) Statistique Comparée de la Criminalité. 1937.

kie kulturalne ustawodawstwa są jednakowo określone co do swej istoty i co do trybu ścigania.

Jeżeli według danych, przytoczonych w „Bulletin de la Commission penitentiaire internationale“, 72% skazanych wyrokami sądowymi popełnia zarzucone im czyny przeważnie pod wpływem odurzenia alkoholowego, to same liczbowe dane bardzo ciekawe i interesujące są zbyt jednostronne, albowiem nie wyjaśniają i nie ustalają zasadniczego zagadnienia: — genezy przestępczości osoby, która popełniła przestępstwo pod wpływem odurzenia alkoholowego, a przeto i sposobów walki z taką przestępczością.

Do danych, których ustalenie niemiecka statystyka (Mordstatistik) uznaje za niezbędne, naszem zdaniem co do przestępstw, popełnionych pod wpływem działania alkoholu, w każdym poszczególnym wypadku należałoby jeszcze dodać: a) stopień otrucia alkoholowego oskarżonego za pomocą badania krwi na zawartość alkoholu, albowiem znane są wypadki, w których odurzenie alkoholowe było rozpoznawane tam, gdzie w istocie chodziło o krwotoki mózgowe, zapalenie opon mózgowych, zatrucie tlenkiem, insuliną i t. d. [4]); b) dziedziczność, c) chroniczny alkoholizm, d) ostry przypadek zatrucia alkoholowego, e) umyślne wprowadzenie się w stan odurzenia alkoholowego, celem dokonania przestępstwa i t. p. Ujawnienie powyższych danych dałoby bardzo poważny materjał w przedmiocie opracowania metod i sposobów walki z alkoholizmem. Nie mniej doniosłe znaczenie miałoby ustalenie danych dotyczących przestępstw popełnionych pod wpływem silnego wzruszenia duchowego, wywołanego alkoholem, oraz przestępstw popełnionych w stanie opilstwa przez nieletnich.

Ponieważ alkoholizm jest pandemją toksyczną, która odgrywa jednakową i wysoce ważką rolę w życiu poszczególnych społeczeństw całej niemal ludzkości, przyczem szczególnie wyraźnie zaznacza się wpływ alkoholu na społeczne zjawisko patologiczne, a mianowicie na częstość przestępstwa, prowadzenie międzynarodowej statystyki przestępstw, dokonanych na tle alkoholizmu, według jednolitego szematu, byłoby bardzo pożądane, gdyż zebrany materjał, dokładnie naukowo opracowany byłby podstawą do zastosowania odpowiednich sposobów walki z alkoholizmem.

Stanisław Czerwiński.

PRACA I ODPOCZYNEK.

(Odczyt wygłoszony na „Dekadzie Trzeźwości“).

Po ciemnej nocy, zaczyna szarzeć na wschodzie. Miasto się budzi. Ruch nocny zamiera, a rozpoczyna się ruch dzienny. Syreny fabryczne wzywają pracowników; ze wszystkich stron: koleje, tramwaje, autobusy zwożą robotników, w wagonach tłok i ścisk niesłychany; jeszcze nie przewaliła się pierwsza ludzka fala, gdy za nią idzie druga i trzecia, — to uczniowie śpieszą do szkół, urzędnicy do biur. W godzinach,

[4]) Prof. Dr. Siengalewicz. „O możności objektywnego określenia stopnia odurzenia alkoholicznego“.

w których kończy się praca, te same powrotne fale przewalają się przez miasto.

W sobotę, w dzień wypłaty, powrotna fala robotników rozpoczyna się cokolwiek wcześniej: każdy opuszczając wasztat pracy, jest w posiadaniu koperty zawierającej tygodniową wypłatę, zastanawia się, jak uzyskaną sumę zużytkować. Potrzeb najkonieczniejszych dużo, na ich zaspokojenie pieniędzy za mało. Niejednego w bramie fabrycznej spotyka żona i stara się choć część zarobku tygodniowego na potrzeby rodziny dostać. Nieraz łapie go lichwiarz i na rachunek długu wyrwie co się da.

Po pewnym czasie nauczy się i żonę i lichwiarza omijać, aby z dobrze dobraną kompanją kolegów, ukryć się w zakładzie, który ma drzwi zamknięte dla wszystkich, kto by tylko chciał go wyciągnąć, przed tym nim gospodarz nie wypłucze z jego kieszeni ostatnich groszy — a wtedy zakład wyrzuci go za drzwi i troszczy się jedynie tylko o to, aby on przeszedł na drugą stronę ulicy i legł nie w najbliższym rynsztoku.

Trzeba przyznać, że ten sobotni i następnie świąteczny obrazek, nie jest powszechny: bądź, co bądź, w ten sposób kończą tygodniową pracę wyjątki, chorzy, u których choroba już daleko posunięta, temi niech się zajmą lekarze, nas obchodzi większość pracowników normalnych. Widzimy ich jak powracają do domu w wesołym rozbawionym towarzystwie: nie jeden zaszedł po drodze do sklepu, kupił coś lepszego na świąteczny obiad, zabrał przy tym i jakąś butelczynę, może nawet gdzieś przy jakimś bufecie wypił kufelek piwa, albo mały kieliszeczek wódki i śpieszy do domu, aby zaraz po obiedzie znaleźć się na ulicy. W godzinach popołudniowych przepełnione są kina i bary, potem teatry, dancingi, a następnie nocne restauracje. Tu mamy obraz, jak miasto się bawi, a z tego możemy sądzić, jak to samo miasto pracuje. Kto w ten sposób się bawi, nie odpocznie, nie uspokoi nadszarpanych pracą nerwów, nie nabierze sił i energji do dalszej produkcyjnej pracy— i musi okazać się słabym i nieudolnym pracownikiem, nie wytrzymującym konkurencji z robotnikami, spędzającymi wolny czas normalnie.

Zagadnienie powyższe zbadał i zrozumiał amerykański fabrykant Ford. Biura jego administracji badają jak najściślej wydajność każdego pracownika, co przy systemie łańcuszkowym jest bardzo łatwe. System ten polega na tym, że każdy robotnik musi dokładnie i prędko wykonać wyznaczoną mu robotę, na półfabrykacie otrzymanym od robotnika z lewej strony i przekazać robotnikowi na prawo, najmniejsza niedokładność w pracy zatrzymuje cały łańcuch.

Robotnik, który zatrzymanie spowodował, jest natychmiast zastąpiony innym i odesłany do biura badań. Zapomocą ścisłych naukowych sposobów wykrywa się tu przyczyny nieudolności robotnika — badania te wpływają na decyzję, czy robotnikowi należy udzielić nagany, urlopu, dymisji, czy też oddać go do szpitala na kurację.

Ford jest absolutnym abstynentem i pod żadnym pozorem nie toleruje u siebie alkoholików. Ford twierdzi, że on ma obowiązek robotników swoich dobrze wynagrodzić, że powinien pamiętać nie tylko o ich potrzebach, ale i potrzebach ich rodzin. Dzieci otrzymują od fabryki naukę, starcy i inwalidzi emeryturę, a wszyscy jak najdalej idącą opieką, daje mu to prawo wglądania w ich życie i kierowania nie tylko pod-

czas pracy, ale i w czasie odpoczynku — wogóle kierowania całem życiem robotników. Opieka, którą on otacza swoich robotników i ich rodziny, jest rozumną i prawdziwie życzliwą, a ma na celu umożliwienia wydajności w pracy.

Badając zagadnienie robotnicze, należałoby się zastanowić, jak najwłaściwiej podzielić czas i jak zużytkować czas wolny od pracy zawodowej.

Jeżeli dobę podzielimy na 3 części i oddamy 8 godzin na pracę zawodową, osiem godzin na sen, a z pozostałych ośmiu godzin wydzielimy dwie do trzech godzin na jedzenie, ubieranie się i drogę do pracy, to pozostanie nam od pięciu do sześciu godzin wolnych, któremi może on rozporządzać według swego uznania, a które są właściwie przeznaczone na uspokojenie nerwów, na wznowienie sił do pracy, czyli na odpoczynek. W fabrykach Forda obowiązuje sześciogodzinny dzień pracy, wprowadził on cztery trzy-godzinne zmiany, fabryka więc bez przerwy pracuje dwanaście godzin, a robotnicy mają dwie - trzy godzinne zmiany z przerwą trzech godzin między każdą zmianą. Robotnicy mieszkają na osiedlu fabrycznem tuż obok fabryki, nie tracą więc czasu na przejazdy, wobec czego czas odpoczynkowy został powiększony o trzy godziny i wynosi od ośmiu do dziewięciu godzin, a musi być spędzony w ten sposób, aby wpłynął na zwiększenie wydajności pracy.

Należy rozróżnić odpoczynek pasywny od aktywnego, większość odpoczywa pasywnie, taki odpoczynek nie przynosi korzyści, ani robotnikowi, ani przedsiębiorstwu. Jeżeli bez zgóry powziętego planu spędzimy wolny czas, jeżeli np. nie wykażemy żadnej inicjatywy, pozostając bezmyślnie w domu, wylegując się na jakiejś otomanie i słuchając radja, na program którego my wpływu nie mamy, czyli najzupełniej biernie poddajemy się naszemu otoczeniu — będzie to odpoczynek pasywny, nie dający wcale zadowolenia; takim samym odpoczynkiem pasywnym będzie nie tylko chodzenie po pokoju z kąta w kąt, ale każdy spacer bez programu i celu. Wychodzimy, aby tylko wyjść, wałęsamy się po ulicach i placach miasta, stajemy przed wystawami, które dobrze znamy, poprostu zabijamy czas. W tych warunkach najczęściej spotykamy kolegów, których nastrój jest takiż, jak i nasz, całą bandą włóczymy się po mieście, włóczęga ta zwykle kończy się pijatyką w pierwszym lepszym szynku.

Taki odpoczynek nie jest odpoczynkiem, a ciężką męczącą i szkodliwą nudą.

Prawdziwym odpoczynkiem jest odpoczynek aktywny, dostosowany do naszych upodobań. Pracownicy fizyczni, poszukują zwykle odpoczynku w pracy umysłowej, — dobra książka, uzupełniająca zakres jego wiedzy, odpowiednie towarzystwo, wykłady, odczyty, dyskusje, oto co, robotnik wycieńczony pracą fizyczną przyjmuje najchętniej. Pracownicy umysłowi, oddają się bardzo chętnie przeróżnym sportom, pracy w ogrodzie, na roli, słowem szukają zbliżenia do natury, często poszukują wprost fizycznego zmęczenia, naprzykład rąbią drzewo. W ostatnich czasach w Anglji mężczyźni zaczęli wykonywać takie prace ręczne, jakie poprzednio wykonywały tylko kobiety, a więc roboty szydełkowe — koronki, prace na drutach, z wełny pończochy, swetry i t. p.

Obecny król angielski robi bardzo ładne sportowe swetry. Różne gry nie hazardowe, przedewszystkiem szachy, dają wielkie zadowolenie, niezmiernie u nas rozpowszechniony brydż, a dawniej wint, mógłby stanowić właściwą rozrywkę pod warunkiem, żeby zupełnie był wykluczony element zainteresowania pieniężnego — nie był hazardem, a co również jest bardzo ważne, trwał możliwie krótki czas. Obserwowane u nas nie raz kwartety brydżowe, zaczynają się wcześnie, i trwają do późnej nocy, a nawet do rana z przerwą na kolację z napojami alkoholowymi, nużą uczestników i za zdrowy odpoczynek nie mogą być uznane. Silnie nerwowo wyczerpani niejednokrotnie szukają odpoczynku w układaniu pasjansów — w wyjątkowych wypadkach mogą pasjanse zastąpić pewne zabiegi lecznicze, uspakajające nerwy. Wielcy ludzie: Napoleon, Piłsudski w układaniu pasjansów szukali oderwania się od wielkich swych zajęć. Polowania wzbudzają krwiożercze instynkty, dziś przy ulepszonej broni i przy dobrym zwierzostanie, są wprost wstrętną mordownią, a przy tem wprowadzono zwyczaj na polowaniach śniadań z wielką ilością alkoholu — jeszcze wstrętniejszą jest strzelanina do gołębi — jako do żywego celu. Tego rodzaju rozrywki nie mogą dawać spokoju nerwowego.

Rozumne spędzanie urlopu wypoczynkowego ma znaczenie pierwszorzędne. Młodzi mogą wykorzystać urlopy na wycieczki krajoznawcze, turystyczne, górskie, na pobyt w obozach, na sport pieszy, kołowy, kajakowy, lub inny. Starsi przeważnie potrzebują leczenia, wyjazdu do wód, nad morze, w góry, a wszystko za poradą lekarza, musi dać wynik pomyślny — najgorsze by było zaszycie się w jakiejś dziurze i strwonienie urlopu na kartograjstwie, pijatyce, lub choćby nawet bezmyślnem lenistwie. Umieć odpoczywać, to znaczy, umieć zdobyć nowe siły do dalszej pracy. Kto umie odpoczywać, ten umie pracować, pod warunkiem, że pracę będzie miał właściwie dobraną. Ten sam kto przy pracy odpowiedniej do jego uzdolnień i upodobań będzie bardzo pożyteczny, okaże się zupełnym niezdarą, a nawet szkodnikiem społeczeństwa, jeżeli podejmie się pracy nieodpowiedniej. Dobrze dobrana praca jest najlepszym odpoczynkiem, dobrze zorganizowany odpoczynek jest najlepszą podnietą do pracy, a nawet nieraz jest pracą. W tych warunkach, granica między pracą, a odpoczynkiem zanika.

Widzimy nieraz, zniechęconego i zmęczonego pracownika, który ciągle chciałby odpoczywać, a właściwie nawet odpoczywać nie umie, pracownik jest z siebie niezadowolony, a pracodawca nie widząc produkcyjnej pracy, musi starać się o zastąpienie go innym odpowiedniejszym. W naszych polskich warunkach niestety spowodu zupełnego braku inicjatywy prywatnej i masowego dążenia do zajęcia posady, większość pracowników należy do niezadowolonych i nieodpowiedzialnych. Bezrobotni robią największe wysiłki, byle jakąkolwiek zdobyć posadę, nie licząc się z tem, czy jest ona dla nich odpowiednią i czy na tej posadzie będą pożyteczni.

Pamiętam rozpacz jednego z moich znajomych i całej jego rodziny, gdy został zredukowany; złożyłem mu najserdeczniejsze życzenia, gdyż wiedziałem, że marnował się na nieodpowiedniej posadzie i radziłem mu podjąć się samodzielnej pracy. Uskarżał się, że niema pieniędzy na rozpoczęcie jakiegokolwiek przedsiębiorstwa, jakoś sobie jednak po-

radził i obecnie jest stosunkowo zamożnym człowiekiem, błogosławi moment, kiedy go zredukowano. Co najważniejsze na posadzie był zmęczony, znużony, w interesie własnym, pełen energji, przedsiębiorczości największego zadowolenia. Kiedy ten człowiek pracuje, a kiedy odpoczywa nie wiem, on zawsze myśli o swoim interesie, a nigdy nie widać żeby był zmęczony, — między jego pracą i odpoczynkiem nie widać granicy.

Niedawno znowu spotykam znajomą paniusię, przywitała mnie uprzejmie i opowiedziała, że jej bezrobotny mąż znalazł posadę, dobrze płatną, mieszkanie, opał, światło, służbę, rozjazdy i wysokie djety, tak wysokie, że pół pensji można dorobić, pracy mało, zupełna samodzielność, nikt nie pilnuje, nikt po piętach nie depce, można robić co się chce, a nawet nic nie robić. Tu granicy, między pracą i odpoczynkiem nie ma, bo nie ma pracy, a jest tylko odpoczynek — próżniactwo. Zapewne niebawem nastąpi redukcja, a wtedy rozpocznie się praca, polegająca na poszukiwaniu byle jakiej posady. Posad w Polsce jest dużo, poszukujących pracy jeszcze więcej, trudno tylko znaleźć właściwego człowieka na właściwem miejscu.

Gdybyśmy na ten temat chcieli dyskutować, znalazłbym zapewno wielu oponentów, usłyszałbym o specjalnie trudnych polskich warunkach, o braku poparcia dla inicjatywy prywatnej ze strony rządu, o wielkich podatkach, a trudnościach prawnych, policyjnych, sanitarnych i t. p., jednak są między nami tacy, co wszystkie te trudności potrafią przezwyciężyć, a cudzoziemcy twierdzą, że warunki w Polsce są dużo lepsze i łatwiejsze niż w innych krajach, że u nas brak tylko inicjatywy i wytrwałości w pracy. Narzekamy na żydów, że z ich powodu polskie interesy upadają, a we wschodniej Małopolsce, tej części Polski, gdzie procent żydów jest największy, Ukraińcy wspaniale sobie radzą, ich kooperatywy w czterech województwach robią obroty dorównujące obrotom polskich kooperatyw, których działalność obejmuje całe państwo. Mówią, że Ukraińcy podobno mają ludzi, a my jakoby cierpimy na ich brak. Wydaje mi się wprost przeciwnie, procent inteligencji u Ukraińców bezsprzecznie jest mniejszy, ale oni mają trudniejszy dostęp do urzędów i żywiołowo garną się do pracy społecznej. Wielki wpływ na uzdrowienie stosunków na Ukrainie ma wspaniały rozwój idei wstrzemięźliwości, którą skutecznie propaguje Tow. „Widrodżennia" — Odrodzenie.

W analogicznych warunkach pod względem politycznym i społecznym stoi nasza Białoruś, a jest niesłychanie ciemna i biedna, nie dlatego, że ma gorszą niż na Ukrainie ziemię, bo za to ziemi ma względnie dużo, przeludniona zaś Małopolska drobne rolnictwo ma przeważnie karłowate, ale dla tego, że Białoruś tonie w samogonie i denaturacie.

Z tych kilku przykładów, my abstynenci widzimy, że mamy możność poważnie przyczynić się do poprawienia stosunków w Polsce, prowadząc propagandę normalnego odpoczynku — odpoczynku aktywnego, który rozumie się musi być odpoczynkiem trzeźwym. Musimy wszelkiemi środkami zwalczać odpoczynek pasywny, bezmyślny, gdyż prowadzi on do demoralizacji, do używania alkoholu, do pijaństwa. Propagując rozumny odpoczynek, propagujemy jednocześnie

rozumną, wydatną pracę, co w wyłaniającym się nowym ustroju ekonomicznym jest największą potęgą społeczną.

My tu na naszych dekadach i na zebraniach Trzeźwości staramy się dać przykład, jak można i jak należy spędzać wolny czas, jak odpoczywać, jak się uczyć i jak się bawić.

W ostatnich czasach ministrowie i przedstawiciele rządu w parlamencie i prasie, wykładali całe szeregi cyfr, które potwierdzają nie tylko, to, że kryzys ekonomiczny już się załamał, ale nawet zapowiadali zbliżenie się epoki prosperity.

Wojna Abisyńska, Hiszpańska, a obecnie wielka wojna Japońska, odbywające się nie na naszym terenie, muszą bezsprzecznie wpłynąć na poprawienie się u nas warunków ekonomicznych; pierwsze tego oznaki udało się już podpatrzyć i zarejestrować.

Zwykle kraje neutralne na wojnach zyskują materjalnie, a są wszelkie widoki, że my do tych awantur się nie wmieszamy i pozostaniemy na dalszym planie, możemy więc tę okoliczność wyzyskać. Należy tylko zakasać rękawy i brać się do pracy, nie szukać posad, a organizować pracę samodzielną, a do takiej pracy nadają się ludzie trzeźwi, oni są powołani do budowania wielkiej mocarstwowej przyszłości narodu. Obowiązkiem więc naszym jest wzywać wszystkich abstynentów całego świata, — do pracy, w myśl hasła: przyszłość nasza!

Aleksander Iżycki.

KARCZMA NA ROZDROŻU.

(Odczyt wygłoszony na „Dekadzie Trzeźwości“).

Niema w Polsce, a może i w całej Europie takiego skrzyżowania ważnych dróg kołowych, na którym kiedyś, a może i dziś jeszcze, nie stałaby karczma. Czasem dwie — współzawodniczące ze sobą. Tak to szynk stawał podróżnym na ich drodze do celu, tak staje i dziś na drodze ich życia.

Wielcy i mali arendarze i fabrykanci, ciągnący z tego procederu olbrzymie, przeważnie, korzyści, oddawna starali się wódce i karczmom przypisywać wiele cech „pożytecznych“. Wypisywano też dużo na ten temat niecnych bredni, że monopole najskuteczniej walczą z pijaństwem, że utrzymują równowagę budżetową państw biednych i t. p. Mówiono też nieraz — do dziś to się słyszy, — że karczma pełni po wsiach i miasteczkach rolę niejako „klubu towarzyskiego...“ „Tam — tak mówią — schodzą się bliżsi i dalsi sąsiedzi, tam robią się układy, pojednania i podpisują nieraz kontrakty“... Słowem wódka, według tych gadek, ma wpływać na ludzi kojąco, a frazes „kochajmy się“ tylko w szynkach naprawdę sprawdza się i staje się ciałem.

Nie trzeba być bystrym obserwatorem, aby zrozumieć, że naprawdę jest wręcz odwrotnie. Po wsiach i miasteczkach istotnie spotykają się w karczmach ludzie blizcy sobie, często spokrewnieni, bo czasem, jak wiadomo, syna wprowadza tam ojciec, lub brat brata. I co się dzieje? Ci ludzie o wspólnych poglądach, wierzeniach, interesach i kłopotach, ludzie związani terenem, wspólną biedą etc., biorą się tam za łby. To nie praca staje tam do walki z kapitałem, nie klerykalizm powala wolną myśl ludz-

ką, nie socjalista zadaje cios faszyście, nie! To brat dobywa nieraz noża na brata, a chłop godzi w takiego samego chłopa, tylko dlatego, że umysły obu zamroczył alkohol. Z rzekomego „klubu towarzyskiego", (terenu nibyto Pojednania), ludzi, którzy tam przychodzą w zgodzie, odwozi się jako wrogów: jednego do więzienia, drugiego — do szpitala, lub... i na cmentarz... Frazes „kochajmy się" w rzeczywistości przekształca się na „bijmy się!"

Karczma na rozdrożu pokazuje swoje prawdziwe oblicze.

To samo jątrzące działanie wódki ujawnia się niejednokrotnie, przy wielu zbrodniach z premedytacją, a nieraz zdarzają się opryszkowie, którzy przed wyprawą bandycką z zasady opróżniają niejeden kieliszek, bo wiedzą, że na trzeźwo brakłoby im odwagi do popełnienia zbrodni, której wykonanie po pijanemu przychodzi tak łatwo. Nazywa się to „dla kurażu", a w istocie ma na celu zagłuszenie sumienia i opętanie woli.

Z tej roli wódki i jej przybytków zdają sobie sprawę ludzie rozumni i niema narodu, ani takiej klasy społecznej, niema takiego ugrupowania, czy stronnictwa politycznego, w którymby nie znalazło się chociaż kilka jednostek służących idei trzeźwości i walce z alkoholizmem. Nasz wrześniowy kongres międzynarodowy, na który zjechało się wielu przedstawicieli różnych narodów, nieraz skłóconych ze sobą, był tego wymownym dowodem. Przedstawiciele przeciwnych sobie obozów politycznych wspólnie obradowali nad zagadnieniem jednakowo groźnym i niebezpiecznym dla całej ludzkości.

Może nie od rzeczy będzie przypomnieć, że nawet w łonie jednego narodu naszego bywały chwile zupełnego pojednania wszystkich kierunków myśli ludzkiej i zgodnego działania ramię w ramię ludzi najróżniejszych przekonań i zapatrywań: było to w roku 1920, gdy całej Polsce zagroził najazd wroga. Ten groźny wróg spoił naród w jedną zwartą całość. Pod Radzyminem ginął w jednym szeregu ksiądz Skorupka, obok bezimiennego robociarza, czy chłopa. Nie brakło ochotników, wśród wszystkich warstw narodu: dziedzice walczyli obok fornali, a antysemici na równi z wolnomyślicielami.

Co to było? Przecież lwia część tych ludzi, to byli ochotnicy, których własny poryw wprowadził w szeregi walczących. Ktoś ich porwał, zachęcił, przekonał! Tak, ale czynnikiem decydującym był wspólny, groźny i bliski wróg.

Otóż podobną rolę odgrywa i wódka, jako wspólny wróg nie jednego narodu, ale całej znękanej ludzkości. Wróg nie zesłany przez los, jak powódź, trzęsienie ziemi, czy epidemja cholery. Nie! Wróg wynaleziony przez ludzi, przez nich wprowadzony w życie i przez nich (niektórych) starannie kultywowany i broniony.

To też grozę położenia uświadamiają sobie dobrze ludzie różnych narodów i najrozmaitszych ugrupowań. Łączą się nieraz we wspólne towarzystwa, mimo tego, co ich dzieli, mimo biegunowych różnic poglądów, w imię jednej, wzniosłej, wspólnej idei.

Nie potrzeba też szukać zagranicznych przykładów, wymieniać dzielnych propagatorów trzeźwości w faszystowskich Włochach, lub sowieckiej Rosji, nie potrzeba nawet przypominać, że Hitler jest takim samym zdecydowanym wrogiem wódki jak Stalin, wystarczy się przyjrzeć różnym abstynenckim stowarzyszeniom i związkom w Polsce. Znaj-

dziemy w nich jednakowo czynnych szermierzy idei trzeźwości wszystkich stowarzyszeń i organizacyj społeczno-politycznych i religijnych.

Wielka idea przysłania i odsuwa na daleki plan wszelkie różnice, sprzeczności. Na terenie walki z wspólnym groźnym wrogiem ci ludzie gotowi są zapomnieć sobie wszystko. Czasem nie tylko zapomnieć, ale darować. To fragmentaryczne, ale jakżeż znamienne zjednoczenie, dzieje się nie na rozkaz, nie spowodu okólnika, czy odezwy, ale jest aktem wspólnej i wolnej woli. Woli kierowanej jedną szlachetną myślą i czynem, mającym na celu walkę z potwornością, jaką jest zatruwanie i wynaturzanie ludzkości przez alkoholizm i jego przybytki, stojące na wszystkich naszych rozdrożach: Karczmy.

Te karczmy, które są w stanie skłócić i poważnić najbliższych, jako symbol działają przeciwnie: łączą i jednoczą we wspólnym czynie najdalszych. Wódka rozdziela braci, idea Trzeźwości łączy wrogów.

Tak to jest!

W tym ruchu, w tej idei, które i nas tu na tej sali zgromadziły, tkwi obok innych pięknych pierwiastków, zaczątek zjednoczenia ludzi światłych, ludzi dobrej woli i dobrego czynu. Tu w nas się wyrabia poczucie solidarności i jeszcze silniejsze więzy, jakie daje wspólna walka we wspólnym szeregu, czyniąca z nas towarzyszów broni.

To braterstwo broni jest najcenniejszym bodaj elementem i moralną zdobyczą, jakie daje karczma, jako nasz wróg symboliczny. Ona na rozdrożu, my we wspólnym ordynku!

Stanisław Biernacki.

DZIELNICA BYŁYCH LUDZI W BARANOWICZACH.

(Korespondencja z Baranowicz).

Największem miastem w Woj. Nowogródzkiem są Baranowicze. Miasto to liczy 30 tysięcy mieszkańców. Rośnie i pod względem handlowym wykazuje dużą ruchliwość. Jest to miasto młode, liczy sobie zaledwie 50 lat. Powstało z jednej budki kolejowej, zbudowanej wśród błot i lasów i z jednej okazałej karczmy zbudowanej przez sprytnego żydka, naprzeciw tejże budki kolejowej. żyd ten nazywał się Baranowski i prorokował, że tutaj powstanie z czasem wielkie miasto, bo jest ono w tych stronach *potrzebne.*

Z uruchomieniem stacji węzłowej, proroctwo karczmarza zaczęło się realizować. Dzisiaj Baranowicze są w Woj. Nowogródzkiem największem, najruchliwszem miastem. Ma szerokie ulice, podzielone na kwartały. Budują się reprezentacyjne gmachy: Szpitala Międzykomunalnego, Ośrodka Zdrowia, poczty i Studja Polskiego Radja; powstają i większe kamienice, na pryncypalnych ulicach. Na krańcach miasta przy nowych ulicach, wyciągają się nowe domki rodzinne, drewniane, obliczone na rodzinę inteligencką i na jedno rodzinne mieszkanie, lub dwa pokoje kawalerskie do odnajmowania. Domki te toną w ogrodach kwiatowych i sadach. Kto je buduje? Wojskowi, policjanci, urzędnicy, którzy niedługo przejdą na emeryturę.

Ulice baranowickie, nie wszystkie są jeszcze zabrukowane, wiele

z nich tonie w błocie. Oświetlenie, którego dostarcza kolejowa elektrownia, jest b. niedostateczne i znośne jedynie na ulicach głównych, krańce miasta toną w ciemnościach, o ile dobrotliwy księżyc nie wyręczy elektrowni. To też ludzie rozsądni, a zamożniejsi, chodzą z latarkami w kieszeni.

Na przyjezdnym, Baranowicze robią miłe wrażenie: miasta żyjącego żywem tętnem handlowem, idącego naprzód, w którem zmiany na lepsze zachodzą dość często. Ot np. mieliśmy do niedawna straż pożarną konną, teraz jest ona w zupełności zmotoryzowaną. Nie było sklepów chrześcijańskich, teraz mamy ich już znaczną ilość.

Organizacyj społecznych mamy bodajże zadużo, i wartoby je komasować. Np. mamy kilka Bibljotek liczących po parę tysięcy tomów, a nie mamy dotąd jednej, racjonalnie prowadzonej „Bibljoteki Publicznej", a w mieście, gdzie jest pięć szkół średnich, i 6 szkół powszechnych, jest to sprawą palącą.

Wymieniłam w tym pobieżnym opisie plusy Baranowicz; należy dodać, że są one położone w pobliżu lasów sosnowych, na terenach piaszczystych, suchych, są zadrzewione w dużej mierze, należą do miast zdrowych. Ale na Baranowiczach ciąży przekleństwo.

Nie darmo powstały one z dużej karczmy. Mają one i dzisiaj ogromną ilość zakładów, służących do upijania się. Poczynając od wykwintniejszych, a kończąc na bardzo pospolitych, brudnych knajpach.

Pijacką dzielnicą jest t. zw. „Sachalin".

Sama nazwa budzi niemiłe wspomnienia, a istota rzeczy bliżej poznana dreszcz zgrozy wywołuje.

Cóż to jest ten baranowicki Sachalin? Oto gmatwanina zaułków, placyków i skupienie chotycznie skleconych domków, na maleńkich placykach, dzierżawionych za parę pudów żyta rocznej tenuty, od włościan z podmiejskiej wsi Kołpienicy, w pobliżu koszar im. Traugutta. Mieszka tam krańcowa nędza, tuli się występek i zwyrodnienie, grasuje pijaństwo. Domki na „Sachalinie", budowane, a raczej klecone, powstały wielkim wysiłkiem: materjał kradziony po tartakach, składach drzewa, składach kolejowych i prywatnych oraz podwórkach, ściągany nocami na plecach lub ręcznych wózkach, przez rodziny. Budowano te schroniska rodzinne, jak psie budy, tandetnie, po dyletancku. Przedstawiają one, jakie takie schronienie latem; zimą, mieszkanie w tych domkach, jest jedną męką. Ponieważ bardzo często, nie mają one sionek, bo już na nie nie starczyło budulca, więc wiatr mroźny wdziera się do izby przy każdem otwarciu drzwi. Nie mają też te klitki, ani piwnic, ani żadnych przybudówek na skład ziemniaków i drzewa: to wszystko więc, a często u bogatszych, kozy, prosiaki i kury, mieszczą się w jednej izbie. A ta izba jedna jedyna, zaludniona jest ponad wszelką miarę. W wielu izbach na „Sachalinie" widzi się nie tylko wiszące kołyski z niemowlętami do trupków podobnemi, co tu nikogo nie dziwi, ale i bardzo przemyślnie do ścian poprzyczepiane łóżka, a właściwie barłogi dla dorosłych. Pijaków, zwyrodnialców wszelkiego typu cała galerja. Badacz patologicznych typów miałby tu ciekawe okazy do studjowania. Jak męczennice żyją tutaj kobiety, matki, żony, kochanki... Z takich nor, zimnych, wilgotnych, przeżeranych grzybem, rojących się od robactwa, idą one do śródmieścia na zarobek. Chodzą na posługi do domów prywatnych, do sprząta-

nia sklepów, do prania, do zamiatania śniegu zimą, do pracy po ogrodach latem. Starsze kobiety z tych rodzin uprawiają żebraninę. Zarobek ich wsiąka niemal w całości w utrzymanie domu. Na wyżywienie, odzianie dzieci, na opłacenie szkoły; dla nich samych, jest tych pieniędzy zawsze najmniej.

A ojcowie rodzin, ich nominalni żywiciele? Ci, po okresie bardzo krótkim „miodowych miesięcy", żyją swojem życiem: przepijają z lekkiem sercem zarobek całotygodniowy i w rezultacie żona musi ich utrzymywać. Tragiczne sceny rozgrywają się w tej zapomnianej od Boga i ludzi dzielnicy w soboty po wypłatach.

Długo, długo w noc, czeka przy chybotliwem świetle lampki naftowej żona praczka i dzieci na „powrót taty".

Obiecywał mi przecież tak solennie przynieść całą dwutygodniówkę, a więc całe 35 zł. zarobione w tartaku.

Miały te pieniądze iść na zaspokojenie sklepikarza, który daje na borg mąkę, kaszę, słoninę i t. p. oraz na kupno czapek i książek szkolnych dla dzieci.

Ponadto dzieciaki miały obiecane obwarzanki i cukierki.

Czekali długo na powrót ojca i męża, wreszcie żona, zbudziła starą matkę i poszły szukać go po spelunkach pobliskich i „melinach", dobrze znanych policji. Nie znalazły go nigdzie, ale gdy po daremnych poszukiwaniach wróciły do domu, zobaczyły go leżącego na ziemi u progu domostwa, ubranie miał skrwawione, podarte, snać była jakaś bójka, a może i co gorszego. Przynieśli go koleżkowie, którzy po hulance, odstawili go do domu. Nazajutrz w chacie „sąd boski"! Zawodzenia rozpaczliwe żony, lamenty dzieci, wymysły,bijatyka, łamanie sprzętów i tak w kółko...

Dzieci na to patrzą, słuchają, często biorą stronę ojca, lub matki.

Czasem długie dąsy między rodzicami kończą się domową pijatyką, na tę „świętą zgodę", na odczepne dla żony. Po wódkę, posyłane są małe dzieci, które przy tej uczcie rodzinnej zapoznają się z kieliszkiem. Wśród pijaków nie brak nałogowców w stadjum bardzo zaawansowanem; stoją oni już na pograniczu obłędu, lubują się w sadystycznych udrękach, zadawanych żonie i dzieciom. Umęczona kobieta w przystępie rozpaczy chwyta nieraz za proszek trucizny, trujące ziele, lub bardziej porywcza, siekierą zabija pogrążonego we śnie głębokim pijaka. Patrzą na to małoletnie dzieci, matka surowo nakazuje im, aby nikomu o tem, co widziały, nic nie mówiły, odsuwa stół, na którym się jada, a że podłogi w tych chatkach nie ma, więc kopie dół głęboki, układa tam zwłoki zamordowanego męża, mocno powierzchnię ubija, starannie zamazuje to miejsce gliną, stawia na tej improwizowanej mogile stół i... życie, jakby nic nie zaszło, dalej się toczy. Po kilku dniach sąsiedzi zaczynają się dopytywać, o nieobecnego męża.

Kobieta idzie do komisarjatu policji, i składa zeznanie, że jej mąż ją porzucił, prawdopodobnie uciekł do bolszewików „taki drań - komunista", pijak zatracony!

Poszukiwania policji nie dają żadnego wyniku, a tymczasem do tegoż komisarjatu policji przychodzi sąsiad, najbliższy przyjaciel i kompan najwierniejszy zabitego. Ten składa zeznania np. „od kilku nocy

śni mu się jego przyjaciel zaginiony i skarży się żałośnie, żeby go wydobył z niewygodnego, ciasnego pomieszczenia“.

Policja kresowa jest b. sprytna i domyślna, idzie do domu owego zamordowanego na skrupulatne poszukiwania.

Wybierają moment, gdy matka jest zajęta praniem poza domem. Zastają małe dzieci, które zapytane: „gdzie tata?“ wskazują miejsce jego ukrycia pod stołem, na którym stoją resztki jadła i leżą okruchy czarnego chleba.

Zaczyna się sondowanie gruntu i odkopywanie i wydobywanie zwłok po paru tygodniach znajdujących się w stanie rozkładu. Sprawczyni mordu zostaje aresztowana, ale wyrok jest łagodny *), bo wszyscy sąsiedzi stają w jej obronie, rozwiązują się języki i zaczynają opowiadać straszne rzeczy, o udrękach, jakie zabity zadawał przez długie lata kobiecie. Jak ją oblewał zimną wodą i w koszuli na mróz wyganiał, jak ją nadmierną pracą obarczał, jak ją lżył i katował, a kobieta była pracowita, porządna, cicha, nikomu wody nie zamąciła, dzielnie walczyła z biedą, znosiła długie lata swoje męczeńskie życie, aż wreszcie któregoś dnia nerwy nie wytrzymały i chwyciła za siekierę. Po tej zbrodni blady strach padł na niektórych pijaków.

Zato „baby shardziały“ i zaczęły się odgrażać warkliwie:

— „Czy chcesz abym cię pogłaskała siekierą, jak tamta z ulicy Żwirki zrobiła ze swoim chłopem?

Oczywiście żaden nie życzył sobie tego.

A kobiety zaczęły się naradzać, czy nie lepiej byłoby im z „dzieckami“ odejść od mężów pijaków niepoprawnych, znaleźć sobie mieszkanie „kątem“, oczywiście taniutkie i utrzymywać siebie i dzieci z posługi, prania, lub dorywczego handlu na rynku.

Ale chłopy, gdy się zwiedziały o tej babskiej zmowie, wszyscy jak jeden, ale każdy z osobna swoim połowicom zagrozili:

„Spróbój jeno ode mnie uciec, ty suko, a to jak dopadnę, zabiję, ani zipniesz, przeciem od ciebie mocniejszy. I baby powoli zamilkły, spokorniały.

— „I co ja nieszczęsna mam robić, proszę pani, pyta, podnosząc z twarzy sczerniałej, przedwcześnie postarzałej, wychudłej, sińcami od małżeńskich pieszczot poznaczonej, oczy przesmutne.

I naprawdę, co takim nieszczęśliwym kobietom radzić?

Ale rada jednak **znalezć się musi.** Należy rozpocząć starania o bu**dowę** tanich, zdrowych mieszkań robotniczych, o uruchomienie tanich herbaciarni, jako ośrodków propagandy trzeźwości, wystąpić do władz o zmniejszenie liczby karczem, uruchomić przy „Ośrodku Zdrowia“ przychodnie przeciwalkoholowe. Oto plan rozległy, który stawia sobie w Baranowiczach grono kobiet dobrej woli i współczującego dla ludzkiej nędzy serca. Ale zanim te dezyderaty społecznic baranowickich, zostaną zrealizowane, wiele ponurych tragedyj rozegra się jeszcze w nędznych, chatynkach baranowickiego „Sachalinu“. Ale i tam zdarzają się chwile jaśniejsze.

Czyż to być może?

Kiedyż się to trafia?

---

*) Zostaje ukarana za fałszywe zeznanie.

Oto w okresie świąt „Bożego Narodzenia“ i „Trzech Króli“. Kiedy to szkoły, magistrat, wojsko, „Komitet Pomocy Dzieciom“ i organizacje społeczne urządzają gwiazdki z paczkami, z ciepłą odzieżą i obuwiem. Wtedy, opiekunowie społeczni i działaczki miejscowe, którym dobrze, och, jakże dobrze, znaną jest nędza mieszkańców „Sachalinu baranowickiego“, sprawiają, że duża ilość ciepłej bielizny, ubrania, butów i wojłoków, idzie do tych zimnych, wilgotnych budek, wraz z paczkami żywnościowemi. I wtedy słychać tam radosny gwar, śmiech, a nawet śpiew wesołych kolend, a w wielu rodzinach, gdzie są starsze dzieci szkolne, można zobaczyć przyczepioną pomysłowo w rogu izdebki choinkę, przybraną w kolorowe papierki z paroma świeczkami i serca z piernika.

Dzieci w tym czasie są „bardzo ważne“, jak tu mówią. Matka ustępuje im stołu, daje przygarść mąki na klajster, a one, zarówno dziewczynki, jak chłopcy, ale przedewszystkiem chłopcy, w pocie czoła zaprawdę, w zaduchu, ciasnocie, ale wśród radosnego śmiechu i gwaru, przekomarzań i sporów zasadniczych, budują szopkę, stroją kukiełki, ćwiczą się w śpiewaniu kolend, komponują przyśpiewki i wychodzą licho odziane, licho obute w mroźne wieczory zimowe na dalekie wyprawy do śródmieścia, pukając z tą swoją „żakowską sztuką wędrowną“, do domów „bogatych państwa“, aby zarobić parę złotych, które potem idą do równego podziału, na łakocie, tak bardzo pożądane dzieciom wszystkich sfer. W tym okresie jaśniej, pogodniej, patrzą na świat mroczne, wiecznie zda się smutne oczy matek, a nawet zdarza się, że „tata“, do koleżków „na jednego“ nie idzie, jeno wieczorem pomaga heblować i piłować deseczki synom i opowiada, jak to za młodu i on z szopką chodził, i jakie przygody miewał.

Stefanja Bojarska.

Baranowicze.

ZE ZJAWISK LITERACKICH.

(Czesława Sobiesiak-Kamińska, Halina Górska).

Pragnąc uświadomić sobie, jak głęboko obyczaj picia przeniknął nasze życie, wystarczy czytać uważnie współczesną powieść polską, tak bujnie i wszechstronnie się rozwijającą, a czerpiącą swą treść z bogatego źródła, jakiem jest życie realne. Dostarcza nam ona materjału niesłychanie cennego wogóle, a także i tego, o który nam tu specjalnie chodzi. I chociaż twórczość obecna jest zbyt aktualna, by się nadawała do akademickiego segregowania i zaopatrywania w etykiety takiego, czy innego rodzaju i gatunku, to już teraz niewątpliwie można o niej jedno powiedzieć, że spełnia wielką rolę społecznej służby w imię najszczytniejszych ideałów *Dobra*.

Spowodu niedawnej śmierci długoletniego redaktora Revue des Deux Mondes, René Doumic‘a na łamach pism francuskich pojawiły się artykuły poświęcone pamięci zmarłego, oraz charakterystyce jego ideologji, znajdującej uznanie w konserwatywnych kierunkach myśli francuskiej. René Doumic twierdził, że wykłady literatury powinny być jednocześnie katedrą moralności i obyczajowości, wychowawczym czynnikiem wysokiej wartości. Posuwał się tak daleko w swych zapatrywa-

niach na kształcącą rolę literatury, że niemal skłonny był zaprzeczać prawa tworzenia ludziom, którzy nie przedstawiali jednocześnie wysokiej etycznej miary. Przeprowadzał wyraźną granicę między twórczością pozytywną, moralną, a twórczością w jego pojęciu destrukcyjną, twierdząc, że pisarz winien być przeniknięty surową dyscypliną wewnętrzną, którą potrafi uwypuklić w swem dziele, narzucając czytelnikowi ideję *Dobra*.

Otóż przy zastanawianiu się nad obecną powieścią polską, zarysowuje się pewna analogja z poglądem na posłannictwo literatury, jakiego wyznawcą był René Doumic, gdyż jest ona przedewszystkiem śmiałym i wstrząsającym głosem, wołającym nie o co innego, jak właśnie o owo *Dobro*, dla wszystkich ludzi, dla tych, którzy tak strasznie są wydziedziczeni ze wszystkiego, że *Dobro* zagościć wśród nich nie może. U podstaw więc naszej powieści tkwi moment wychowawczy, spowodu, którego pewni czytelnicy oraz część fachowej krytyki literackiej odmawia jej praw do miana prawdziwej twórczości. Nie wchodząc w roztrząsania na ten temat, musimy stwierdzić, że powieść obecna jest zjawiskiem społecznem pierwszorzędnej wartości i jako taka specjalnie nas interesuje, bo spełnia cenną rolę wychowawczą i kształtującą. Wychowawczym elementem jest nie ideja, nie morał narzucony, a *rzeczywistość*, ujęta w ramy książki, przeniesiona ze środowisk reprezentujących tak zwane „doły“ społeczne i przeżyta nawskroś indywidualnie przez każdego pisarza, a wykazująca, gdzie leżą źródła zła, tego czynnika eliminującego najwyższe ideały *Dobra*. Pisarz nie narzuca czytelnikowi swego poglądu, swej ideologji, on go zostawia sam na sam z obrazami, nakręcanymi przez wszechwładnego i okrutnego reżysera, jakim jest *Życie*. Siłą twórczą i cenną tego rodzaju powieści jest fakt, że czytelnikiem wstrząsa, wyrywa go z otumanienia myślowego, narzuca konieczność przewartościowania całych zespołów utartych systemów i norm, nie wytrzymujących próby bieżących czasów.

Rzecz prosta, że w zależności od jasności i pojemności mózgu czytelnika, od szerokości i otwartości jego głowy, oraz od jego nastawień uczuciowych wyniesie on z czytania mniejsze, lub większe *Dobra* moralne i etyczne, powołane do urabiania własnej postawy życiowej. Powieść obecna narzuca poprostu konieczność realnego podejścia do spraw pozornie dalekich, a w rzeczywistości bliskich, bo żywiołowo wciskających się w obręb każdego istnienia indywidualnego, rodzinnego i państwowego.

Georges Duhamel, mówiąc o muzyce Mozarta, powiada, że daje ona słuchaczowi złudzenie, iż to on sam tworzy, on sam wygrywa symfonję własnych uczuć, myśli i nastroi, że utwór muzyczny jest bezpośrednim wyrazem głębin utajonych w skromnym, szarym człowieku, umiejącym tylko... słuchać. Podobnego nieraz uczucia doznajemy czytając powieść; zdaje się nam chwilami, że zaczyna przemawiać w nas samych nasze najgłębiej przyczajone sumienie, — niewypaczone jeszcze całkowicie poczucie braterskiej solidarności z ludźmi, beznadziejnie borykającymi się w jarzmie warunków życiowych, zaczyna w nas tak intensywnie narastać, że się zatraca poczucie obcości i przeżywamy już wspólnie tą obcą niedolę i klęskę. Przez owo intensywne przeżywanie treści, w którem biorą udział wszystkie niewątpliwie najlepsze pier-

wiastki naszej psychiki, dokonywuje się w nas praca samowychowawcza o dalekim zasięgu myślowym i moralnym. A treść książek porusza pośrednio, lub bezpośrednio wszystkie niemal zagadnienia, nurtujące każdą myślącą jednostkę — wraz z nią wchodzi do każdego zacisznego domu zespół spraw najdonioślejszych, najpilniejszych, których rozstrzygnięcia zaczyna się natarczywie domagać nasza własna świadomość, nasza własna tęsknota za... *Dobrem*, które jest wszak niczem innem, jak przedewszystkiem koncepcją realną, praktyczną realizacją życia na zasadach sprawiedliwości i braterskiego stosunku do ludzi.

Kiedyś obiło mi się o uszy powiedzenie, że literatura taka, swoim językiem i skomleniem osłabia siły żywotne człowieka. Sądzę, że opinję podobną wygłaszać może tylko zamaskowany tchórz, bojący się w gruncie rzeczy tych jęków i skamlań, a chroniący się wygodnie pod kopułą frazesu „o sile“, — albo człowiek krótkowzroczny, nie widzący wzbierającej fali masowego protestu i buntu, tkwiącego w samym fakcie istnienia obecnego stanu rzeczy, lub wreszcie ci ludzie „dorośli“ i „zrównoważeni“, o których słusznie Halina Górska powiada, że tych spraw nigdy nie zrozumieją, więc lepiej, by czytaniem wogóle nie zaprzątali sobie głowy.

Przechodząc od tych ogólnych uwag do zagadnienia alkoholizmu, to przedewszystkiem rzuca się w oczy jeden zasadniczy rys: pisarze, nie znający zagadnienia walki z alkoholizmem i nie orjentujący się w jego psychologicznych podstawach, w książkach swych alkoholizmowi poświęcają wiele miejsca, traktując go, jako zjawisko ogarniające całe życie, będące wszędzie nieodłącznym towarzyszem wszystkich nas razem i każdego z osobna. Można zaryzykować powiedzenie, że obyczaj alkoholowy jest glebą, na której wyrasta budowa naszego życia indywidualnego wszystkich warstw — rzecz prosta, wśród najbiedniejszych, powoduje on zupełnie koszmarne sytuacje. W literaturze, której nie można uważać, jako propagandową na rzecz abstynencji, widzimy cały tragizm alkoholizmu, którego bynajmniej działacze przeciwalkoholowi nie powiększają, poczytując go jako jednego z wielkich wrogów społecznych. Dlatego to powieść współczesna — przedstawia (po za artystyczną), wartość niesłychanie cenną i musimy zwrócić na nią baczną uwagę. Zagadnienia walki z alkoholizmem nie można wydzielać jako jednego oderwanego odcinka z zespołu społecznej przebudowy — byłoby to równoznaczne z zacieśnieniem i zahamowaniem całej dynamiki ruchu przeciwalkoholowego, który służyć pragnie jaknajszerszym i najszlachetniejszym ideałom *Dobra*, lecz jest ono fragmentem podstawowym, zasadniczym walki o nowy ład, o nowy kształt życia społecznego, bo słusznie Halina Górska powiada, „że zwalenie się starych form nie jest jeszcze samo przez się zapowiedzią nowych“. Alkoholizm niszczy najcenniejsze pierwiastki duszy ludzkiej, bez rozwoju których, „nowych form“ życia niepodobna sobie wyobrazić, oddala możliwości rychłych, skutecznych i trwałych reform społecznych, a wyzwala brutalny, dziki egoizm indywidualny i gromadny, sankcjonuje go, podnosi na piedestał bohaterstwa. Musimy przeorać duszę człowieka, ale by to uczynić trzeba usunąć z życia alkoholizm obyczajowy, który, deprawując ludzi, uniemożliwia wszelki pozytywny wpływ najszczytniejszych idei i programów.

„Kwitnące żyto“ [1]) Czesławy Sobiesiak-Kamińskiej jest książką o dzieciach z Powiśla. Wstrząsający to, straszny dramat, smagający współczesność wymową martyrologji tych najmłodszych, o których umiemy tak pięknie deklamować, że są całą naszą przyszłością i nadzieją.

Kamińska wprowadza czytelnika w świat, z którym duża część naszego społeczeństwa niema bezpośredniego kontaktu i czyni to odrazu w sposób ogromnie prosty, rzeczowy, a jednocześnie tak wymowny, że pewne obrazy wywierają stały, powolny wpływ na psychikę. Czyż podobna będzie zapomnieć opisu wędrówki gromady dzieci po koks na śmietnik podwarszawski, podczas której zapoznajemy się z bohaterką książki Sabinką. Opis ten ma taką grozę i taką wymowę plastycznego ujęcia cierpień nieszczęsnych ofiar stosunków społecznych, że można go chyba postawić obok tych opisów pobojowisk wojennych, które nie przestają zawsze towarzyszyć naszej gorzkiej wiedzy o prawdzie współczesnej nam rzeczywistości.

„Duża gromada dzieci ruszyła ku bramie. Prowadził najstarszy z nich — Sylwek Maryniak, chłopak szczupły, liczący około czternastu lat, dość wysoki. Ciemne, spadające na kark włosy, przycisnął mocno, małą, przekręconą na bakier nieokreślonego koloru włóczkową czapką, ręce włożył do kieszeni gęsto łatanego palta, z którego już dawno wyrósł; przykrótkie rękawy sięgały ledwie-ledwie za łokcie. Długie, brudne, poplamione spodnie, z dwoma jaśniejszymi, podłużnymi oknami łat na siedzeniu i ogromne, pozwiązywane sznurkami półbuty, ciągle spadające z bosych nóg, dopełniały stroju. Przez ramię przewiesił długi, gruby worek i pogwizdując, a od czasu do czasu gawędząc z tym lub owym, kroczył poważnie, jak na starszego przystało. I za nim, cicho rozmawiając między sobą, postępowała gromada obdartych, w łachmany odzianych dzieci. Każde z nich miało worek lub duży koszyk wikliniwy pod pachą i w zmarzniętej, małej ręce niosło pogrzebacz, lub kawał grubego, na końcu zakrzywionego drutu. Szare, wychudłe twarze, zaspane oczy, zgarbione plecy, którym brak sił do wyprostowania się w chłodny, mglisty poranek“.

„Kto tylko mógł biegł pędem, ile duchu, byleby tylko jaknajszybciej dopaść do tamtych, już pracujących przy śmieciach ludzi.

„Oho! już leci szarańcza — zakrzyczała opatulona w strzępy łachów przeróżnych, brudnych, cuchnących, stara kobieta, prostując krzyże obolałe od ciągłego schylania. A to skaranie boskie z tymi bachorami, a bodaj was, siubry poskręcało. Znów z pustą torbą do chałupy pójdę... I krzycząc, i wymachując długim pogrzebaczem zasłaniała sobie dostęp do świeżo widać przywiezionej kupy śmieci, bo jeszcze dymiących śmierdzącą, zatęchłą ciepłą parą.

„Lecz gromada oblepiła już dokładnie wszystkie wolne miejsca i nie zwracając najmniejszej uwagi na krzyczącą kobietę i jej wyzwiska, zabrała się energicznie do pracy. Małe pogrzebacze i pozaginane druty rozdrapywały kupy parujących śmieci, chciwe oczy szukały kawałków drzewa, tektury, węgla, koksu, grubych papierowych pudełek — wszystkiego, — co może podtrzymać ogień pod blachą dla ogrzania

[1]) Czesława Sobiesiak-Kamińska: „Kwitnące żyto“. Przeworski 1938, str. 350.

mieszkania. Szczupłe dziecięce ręce szybko chwytały dostarczone odpadki i skrzętnie chowały do worków. Zmarznięte, prawie gołe nogi zapadały się głęboko w ciepłe śmieci i raz po raz rozgrzebywały je wznosząc tumany śmierdzącego kurzu. Zgrabiałe, małe ręce napełniały worki, byleby prędzej, byleby tylko co najlepszego wybrać z zajętego kawałka śmietnika. Tylko od czasu do czasu, krzyk najmłodszej Sabiny, przerywał na chwilę ciszę: jaki duży koks, jaki duży koks znalazłam! I znów tylko granie pogrzebaczy o twardsze kawałki odpadków, o pobite butelki i stare dziurawe czajniki i garnki".

„Tymczasem dzieci dopełniły worków i uginając się pod ich ciężarem, długim sznurem wyciągnęły się nad brzegiem Wisły. Zgięte we dwoje, każde z dużym, pękatym workiem na plecach, niemal nosami dotykające ziemi, szły gęsiego, jedno za drugiem, ledwie posuwając nogami, wsparte na narzędziach swej pracy — pogrzebaczach. Gdy już ostatnie z nich zniknęło za szarym murem Soleckiego Młyna, na polu usianym kupami śmieci ukazała się matka Sabiny.

„Kobieta o ruchach energicznych, prędkich, zdradzających młody, jeszcze wiek i o twarzy chudej, żółtej, pomarszczonej, z oczyma głęboko zapadłemi pod jasnem, wysokiem czołem.

„Sabko, leć naprzód, — rozkazała dziecku. A, bacz, żebyś gdzie pod tramwaj nie wpadła. Leć koło kościoła, naprzeciw młyna, to może jeszcze ojca dogonisz. Podwiózłby cię do domu, bo do ochrony już czas.

„Dzieciak pobiegł we wskazanym kierunku, lecz już przy Wilanowskiej zwolnił biegu. Chude, drżące ze zmęczenia, zmarznięte nogi nie mogły posłusznie nadążyć za wolą dziecka.

„Leć — szepnęła Sabka. Jak tu lecieć, jak kolki wsparły się w żebra i nogi się uginają. A to wszystko przez ten pośpiech. Śniadania jeszcze nie jadłam, byle prędzej... Leć, leć...

„Z szerokiej otwartej bramy Soleckiego Młyna wytoczył się wielki wóz zaprzężony w dwa siwe konie. Furman otulony w ogromną, zamączoną burkę uchylił czarnej, barankowej czapki przed wielkiemi drzwiami stojącego naprzeciw bramy młyna, kościoła, i rozejrzał się wkoło.

„Tato, tato! zakrzyczała Sabka. Ja tu!

„Wóz zatrzymał się. Dziecko zebrało resztki sił i pobiegło do ojca. Dwie czarne mocne, żylaste dłonie chwyciły małą wpół, uniosły nad ziemię i uradowana Sabka usadowiła się ojcu na kolanach. Krótkie: „wio-o" i konie ruszyły z kopyta.

„Już myślałam, że nie spotkam tatusia, — zaczęła mała — ale jak tatuś zdjął czapkę, to zaraz poznałam po łysinie... A dziś to dużo „koksu" nazbierałam. Prawie sam koks. Akurat trafiłam na śmiecie z elektrowni. Tam mamusia cały worek niesie... Tylko tak jakoś w boku kłuje... Ale jeszcze zdążę do ochronki. Prawda?

„Ojciec nie odrzekł ani słowa. Śmierdzące zatęchłym brudem śmietników łachy dziecka i podrapane czarne, zmarznięte, maleńkie ręce, bólem przejmowały serce człowieka.

„O, życie, życie, — wykrztusił wreszcie, gdy wóz zatrzymał się przed bramą domu „„Kołłątaja". Sabina zeskoczyła na bruk i oddawszy umorusaną ręką ojcu całusa pognała w podwórze, przez które w kierunku czterech klatek schodowych wlekły się noga za nogą szeregi małych,

obdartych, zgarbionych postaci, z pękatymi worami „koksu na plecach".

Rodzice Sabiny, są faktycznie abstynentami. Instynkt i wrodzona potrzeba ładu, silne pragnienie przeprowadzenia uczciwej, pracowitej linji życia, każe tym ludziom unikać wódki i strzec dzieci przed piciem. Niestety — nie zawsze im się to udaje, bo powszechnie, wszechwładnie panujący obyczaj picia, przemocą się wdziera do ich nędznej izby. Sąsiedzi przynoszą wódkę i „zagrychę" do ich malutkiej kuchenki, piją sami i zmuszają do picia bezsilną i przerażoną rodzinę.

„Sabka posłusznie przygotowywała się do snu.

„Gdy kończyła pacierz zapukano do drzwi. Fabińska otworzyła. Do mieszkania wszedł Kula z żoną i z dwoma swoimi synami Bolkiem i dziesięcioletnim Jankiem.

„Dzień dobry pani Fabińska. Co to razem z kurami spać chodzicie — zaczął śmiejąc się od progu. Zapalcie no lampę!

„Kiedy ani nafty, ani knota nie ma — odpowiada Fabińska, starając się nadać swojemu głosowi jaknajwięcej serdeczności i ciepła.

„Co jest, do cholery ciężkiej. Te ludzie nigdy nic nie mają, jak Boga kocham, — śmiejąc się coraz głośniej krzyczał Kula. — Janka! przynieś-że naszą lampę z naftą — rozkazał żonie. Chłopaki! siadać koło kuchni, tylko zaraz. Musimy trochę rozweselić ten dom „nieboraczków". „No, Janka, palże te lampe prędzej, żebym sam jej palić nie potrzebował. Słyszysz? I dymaj po „karabin", tylko taki litrowy. Dziś my sobie tu poświętujemy. Niech się ludzie cieszą.

„Kulowa znikła za drzwiami, pośpiewując radośnie. Fabińska wsparła się o kuchnię i delikatnie, by nie urazić gościa, zaczęła prosić o odłożenie zabawy na inny dzień. Tymczasem nadszedł Fabiński.

„A co, moczył się pan w Wiśle? Pewnie pan te obiadową zupkie tak wymoczył, że brzuch do krzyża przez ten czas przysechł, witał Fabińskiego Kula. No, niech pan siada, panie Fabiński. Jak rany Julek, żeby mieszkać przez ścianę i nie popić, to już grzech... A niech je piorun! Jasia zaraz tu literek przyniesie, „zagrycha" się też znajdzie, to się i weselej po kąpieli zrobi.

„Panie Kula i poco to? — próbował wyperswadować upartemu gościowi Fabiński".

„Obudź dzieci, ale wszystkie — rozkazał dalej Kula. Jak święto, to święto. Niech i one użyją.

„Fabińska ustawiła w milczeniu kieliszki, talerze i kubki na stole. Kulowa obudziła najpierw swoich drzemiących koło kuchni synów, potym podbiegła do łóżka, na którym spały Sabinka i Stasia.

„Niech ich pani nie budzi. Niech śpią — prosiła Fabińska.

„Janka, co mówiłem. Obudź mi je zaraz, te moje pociechy, krzyknął zirytowany Kula. Co za ojciec, cholera, żeby sobie tylko kichy naładować, a o dzieci nie dbać. I dla nich starczy! Zrozumiano?

„Kulowa posadziła zaspane dziewczynki na łóżku i szczypiąc je mocno w policzki, przyprowadzała do przytomności, tak energicznie, aż obie zaczęły płakać. Hałas i zamęt panujący w mieszkaniu obudził Ryśka w kolebce.

„I chłopaka dawać tu do stołu. Ojcu na kolana — dyrygował Kula.

„Zaczęła się libacja. Kula potrafił niechętnych groźnem zapraszaniem namówić do picia wódki. Nie pomagały żadne wykręty.

„Chudziaki, psia krew — wołał, waląc pięścią w stół. Pić, kiedy za darmoche się daje. Musiały pić i dzieci."

„Znów wszyscy, nie wyłączając dzieci, wypili nalaną wódkę. Dzieci dostawały już tylko po troszku, żeby więcej dla starszych starczyło. Ale i tak już były pijane". „Kula śmiał się i cieszył tym widokiem. A to mają bal! — śmiejąc się wskazywał dzieci Fabińskim".

„Dzieci chrapały na szmatach pod oknem przytulone do siebie. Już słońce zaczęło przez dziury w gałganie zasłaniającym okno wdzierać się do mieszkania, gdy prawie nieprzytomny Kula wspierając się na zupełnie pijanej Kulowej opuścił mieszkanie Fabińskich".

Spokojna, uczciwa rodzina Fabińskich, jest otoczona nienawiścią otoczenia, jest teroryzowana przez męty, przez złodziei i pijaków, którzy nie mogą znieść obok siebie ludzi różniących się od nich obyczajem i zachowaniem się. My pijemy, a więc i wy pijcie — my kradniemy, a więc i wy musicie kraść — my mordujemy, a więc i wy mordujcie. A przedewszystkiem my do was przychodzimy, by wspólnie *pić*. Ludzie dobrzy, ludzie trzeźwi, nie tylko nie mają znikąd żadnej pomocy, lecz na każdym kroku są gnębieni, tyranizowani, przez silną, zwartą gromadę, reprezentującą *Zło*.

Obyczaj picia wchodzi do mieszkania Fabińskich nie tylko od strony bandyty Kuli. Wnosi go również przyjacielska rodzina, nieco zamożniejsza, która wiedząc, jaka tu nędza panuje, przychodzi w odwiedziny na święta i przynosi wódkę, by wspólnie się rozweselić i wspólnie popić.

„Na stole rozstawiono przyniesione butelki wódki i piwa, przekąski. Zaczęły się „święta".

„Sabka, obejrzawszy czerwony w białe kropki materjał, schowała go do szafy i cicho usiadła koło Stachy pod oknem.

„Fabińska krzątała się między kuchnią, a stołem. Posypały się dowcipy, śmiechy, żarty, anegdoty. Niebawem przyszła druga para: wuj Sabki z żoną Zosią. Butelki wódki opróżniły się w szybkim tempie, radość i ciepłota napełniły izbę".

„Sabcia, chodź do Krzesny! — zawołała Wawrzyńska. — Jak się spijesz to i słyszeć nie będziesz.

„Sabka podeszła do stołu. Wychyliła kieliszek wódki gładko, bez zająknienia. Przekąsiła kiełbasą.

„Masz, wypij jeszcze jeden — rozochocony Fabiński podał Sabce wódkę.

„Nie psuj mi dziecka — usiłowała odebrać dziecku kieliszek Fabińska.

„Ale Sabka już wypiła żrący nektar i znów sięgnęła do talerza z kiełbasą.

„Sabka pod okno! — rozkazała matka. — Ja ci dam wódkę.

„Nie krzycz, nie krzycz. Niech się zaprawia — póki młoda, uspakajał Warczyński".

Wśród szarych, beznadziejnie ciężkich dni przychodzi również czasem ochota odwiedzić biedniejszą rodzinę, — ale jak tu przyjść bez...

butelki? Jak można się zabawić bez picia? Co łatwiejszego nad posłanie syna po wódkę, gdy się ma kilkadziesiąt groszy zbędnych w kieszeni?

„Franiu — dodał zwracając się do swego syna — masz tu i leć do kupca na Tamkę — to na pocieszenie przyniesiesz z pół butelki i kawałek kiełbasy.

„Fabińska niechętnie spojrzała na kuzyna. Oponować nie wypadało. Zawinęła się koło kuchni. Doprawiła gotującą się zupę, ukroiła parę kawałków chleba, nakryła białym papierem stół. Nim skończyła przygotowania, wrócił Franek z wódką i kiełbasą. Sabka i Stasia dostały od stryja po parę cukierków na pociechę. Starszym, zgromadzonym przy stole, rzadki w tych ciężkich czasach nektar, rozweselił myśli, rozwiązał języki. Po pierwszej pół butelce, znalazła się druga. Rozmowa potoczyła się wartko, weselej. W udręczone dusze zajrzała otucha, nadzieja i rzewny spokój. Przy czwartym kieliszku świat zmienił barwy na cieplejsze i pełne strachu, nędzy i głodu codzienne życie, zdawało się już nie tak czarne i rozpaczne. Fabińska raz po raz czułym okiem spoglądała na pękate worki kartofli, stojące koło kuchni; duży bochen razowego chleba i długi połeć słoniny, rozpierały serce, okrągłe dwa pęta surowej kiełbasy zwisające nad kuchnią, wywoływały uśmiech szczęścia na mizernej, wyciągniętej twarzy.

„Fabińska i Fabiński zaczęli się przekrzykiwać w zwierzeniach, opowiadaniach, skargach. Wtórował im godnie na zmianę to płacz, to śmiech, to głośne walenie pięścią w stół stryja Józefa".

Nawet zabawa dzieci, wzorowana na życiu starszych, naśladuje wiernie obyczaj alkoholowy:

„Na niewielkiej polance w zaroślach, gromada małych dzieci, rozebranych do pół-naga obsiadła kawałek białego papieru, zastępującego widać stół, na którym brudne, puste butelki po wódce i occie, kawałki skórek od chleba i grube zielone badyle roślin miały naśladować nieład panujący zwykle w domach po libacji. Wszyscy mówili do siebie głośnym szeptem, zataczali się, śmieli, szturchali się wzajemnie, poklepywali, całowali, klęli, wymyślali — w każdym ruchu i w każdym słowie, dokładnie naśladując rodziców, lub starsze rodzeństwo".

Charakterystyczne niezmiernie są również rozmowy dziecinne, w których widzimy wyraźnie odbicie poglądu ich rodziców na wódkę, stanowiącą najwyższy cel ich pragnień, oraz dowód pewnej zamożności, pewnej wyższej stopy życiowej, z której dzieci chełpią się dumnie.

„A co ty jesz? Pokaż Sabcia — spostrzegłszy spadające okruchy ciasta, spytała Danka.

„Ciasto. Mamusia nam napiekła na święta — odparła Sabka. I szynkę mamy i kiełbasę i wszystko.

„Sabcia, daj kawałek — podniosła się z ziemi i patrząc łakomie na ręce koleżanki, prosiła Danka. U nas nic nie mamy.

„Sabka oddała cały kawałek Dance...

„U nas tyż zeszłego roku nic nie było. To dopiero pierwsze, bo tatuś do magistratu się dostał. Jak chcesz, to idź do domu, umyj się i wyjdź zaraz, to ci i mięsa wyniosę, a później to poszłybyśmy do węglarni na huśtawkę. U nas są goście, to napewno mi dadzą trochę pieniędzy...

i wiesz, *wódka* też jest u nas; mamusia *piwa* narobiła i prawdziwy syfon wody od Blindy przyniosła. Pokażę ci wszystko.

„Danka, rówieśnica Sabki, stała z oczami, nie wiadomo czemu, wlepionymi w dach oficyny i milczała. Sabka niepewna, czy koleżanka słucha, szarpnęła ją za rękaw.

„Na co się gapisz? Idź umyj się i wyjdź... Danka potrząsnęła głową.

„A to, bo dziś to tylko sama się bawie i nikt dziś już po podwórzu nie gania. Bo święta. A... a to wisz, mamusia upiła się i bije nas, jak do domu zajrzymy, bo tatusia w wielki piątek rano na Ordynaku skopali, jak chciał chłopu z woza worek kartofli gwizdnąć.

„I siedzi twój tatuś? A poco kradł. To przecież grzech być złodziejem. To chodź do mnie, to już u mnie się umyjesz, poproszę mamę — biorąc Dankę za rękę mówiła Sabka.

„Danka szła popłakując na wspomnienie pijanej matki, nieszczęścia ojca i tego, że sama dziś się bawi..."

Od pierwszych lat życia, dzieci nasiąkają widokiem pijących starszych i zdobywając bolesne doświadczenia skutków pijaństwa, są jednocześnie zahypnotyzowane niepojętym dla nich faktem kojarzenia z wódką wszelkich chwil, wybiegających po za normę codziennego istnienia: „Świętem pachniało powietrze. Jak kto umiał i jak kto mógł używał go, cieszył się nim i pełnym świątecznego jadła i *wódki* żołądkiem chwalił najpiękniejsze święto Zmartwychwstania i Wiosny".

Czasem takie małe istotki uświadamiać sobie zaczynają nieszczęście przyczajone w butelce i skarżą się bezradnie: „Bo ile razy mój tatuś się upije, to zawsze go okradną, pokrwawią i jak przyjdzie do domu, to bije mamusię i nas wszystkich po kolei i mama mówi, że to przez wódkę".

Książka Czesławy Sobiesiak-Kamińskiej, będąca wymownym dokumentem przemocy obyczaju pijackiego w sferach najbiedniejszych, nasuwa refleksje, czy nie należałoby wszcząć energicznej akcji, zmierzającej do otoczenia szczególniejszą opieką rodzin zasadniczo trzeźwych, zdrowych, rodzin obdarzonych wrodzonem i nabytem wyczuciem niebezpieczeństwa alkoholowego, umiejących należycie ocenić spustoszenie, jakie czyni alkohol? Czy obok opieki nad rodzinami alkoholików nie powinna równolegle się rozwijać opieka nad rodzinami niepijącymi, lub pijącymi rzadko, w celu utwierdzenia ich w abstynencji i dania im właściwego poglądu na tę sprawę życiową, tak niesłychanie ważną i istotną? Będzie to niewątpliwie materiał podatny do agitacji przeciwalkoholowej, może łatwiejszy do opanowania od rodzin pijących już i zaawansowanych, czy to w pijaństwie obyczajowem, czy nałogowem. Do tych ludzi trafią argumenty proste, jasne, logiczne, ściśle związane z ich praktycznemi, życiowemi ambicjami i dążeniami. Takie rodziny trzeźwe należałoby ująć w ramy organizacji, dającej pewne realne korzyści, a przedewszystkiem uczącej, jak można wesoło, radośnie, beztrosko, przepędzać czas wolny bez alkoholu. Rodzinom tym trzebaby dać zabawę, uśmiech *bez wódki*, wyrwać z codziennych trosk i kłopotów i wprowadzić do środowiska bawiącego się na trzeźwo. Jestem głęboko przekonana, że tego rodzaju akcja spotkałaby się ze zrozumieniem wśród tych, których alkohol jeszcze całkowi-

cie nie zmarnował i nie wpędził na dno zupełnej depresji. Byłaby to praca z zakresu profilaktyki, prowadzona na drodze organizowania czasu wolnego w atmosferze zabawy, muzyki, śpiewu, tańca, pod warunkiem wyrzeczenia się alkoholu.

Na zakończenie omówienia książki Kamińskiej, pragnę kilka słów poświęcić Sabince Fabińskiej, która jest faktyczną jej bohaterką i uosabia typ pierwszorzędnej wartości moralnej. Zmaganie się Sabinki z losem, jej walka o maturę, to cała epopeja przedziwnego hartu ducha.

Szkoda, że Georges Duhamel, wielki pisarz francuski, który wykazuje, że jedyną siłą, z którą się liczyć należy jest *wola*, nie może przeczytać o losach polskiej proletarjackiej dziewczynki, której niezłomna wola wytrwania dokonała cudu, przezwyciężyła niejako los, który kamieniem legł na jej drodze i zdobyła... maturę. Wola wytrwania, stanowiąca wskaźnik wartościowości danej jednostki, jest jednocześnie zapowiedzią dalszych możliwości, które dana jednostka w życiu dokona. Jest ona również zasadniczym elementem silnego charakteru, wyrażającego się w wiernej służbie raz wybranej idei.

Sabinka w chwilach wyjątkowego wymęczenia i skołatania nędzą domową powtarzała:

„Wytrwam, muszę wytrwać. To tylko jeszcze cztery i pół roku. A jak skończę gimnazjum, to już nikt pytać się mnie nie będzie: kim jest mój ojciec. Będę miała maturę, co kogo wtedy będzie obchodziło gdzie się urodziłam. Muszę — muszę".

„Tylko silna wola wytrwania, ambicja i marzenia o tej jaśniejszej przyszłości po skończeniu gimnazjum trzymały dziecko nad książkami po nocach, i dodawały sił do biegania na korepetycje".

„Przetrwałam rok — przetrwam i cztery jeszcze.

„życie popłynęło dawnym torem. Całe popołudnia wypełniały Sabce korepetycje, wieczorami pomagała matce w gospodarstwie, nocami uczyła się. Przy tej samej, co w zeszłym roku naftowej lampce pisała, czytała, uczyła się na pamięć formułek i wierszy i marzyła przy algebrze do późnej nocy. A u kresu krzyżowej drogi, którą kroczyła Sabinka do matury, dostrzega ona nową prawdę, patrzy jej prosto w oczy:

„Ciężka droga do celu... Do celu powtórzyła drżącym smutną ironją głosem... cel, cel... Czy to właściwie był cel? Zdobyłam go. Mam maturę. Przeszło wszystko, i lęk, i strach i walka o ten cel... Zostało, nic. Papierek maturalny w ręku. Tylko papierek... I wiesz, dopiero teraz w cztery dni po otrzymaniu tego papierka spostrzegłam, że... że to był środek do osiągnięcia innego celu, większego może, takiego prozaicznego. Matura! To tylko schodek, po którym muszę wejść do tych drzwi, za którymi stoją kosze z codziennym chlebem... Matura... to dopiero „akcja", którą trzeba będzie umieć sprytnie i dobrze spieniężyć na giełdzie życia, by za otrzymane złotówki osiągnąć ten inny cel: napełnienie głodnych siedmiu żołądków. I teraz ogarnia mnie jeszcze większy lęk i strach niż przed egzaminami... czy zdobędę ten właśnie cel..."

„Dziś dopiero, kiedy zaczynam szukać posady, kiedy bacznie nadstawiam ucha wszędzie tam, gdzie o tym mówią, z przerażeniem uświadamiam sobie, jak strasznie byłam naiwna... Wciąż mi się zdawało, że

przecież z maturą tak ciężko zdobytą przyjmą mnie wszędzie do pracy z otwartemi rękami. Tymczasem, tymczasem jest inaczej. Bezrobocie... na jedno wolne miejsce tysiące rąk do pracy. Nowy cel... nowa walka... mówiła wolno sama do siebie Sabka".

„Niespodziewany dotąd strach co noc hamował myśli na „godzinę duchów", te same strzygi i mary mroczyły kąty izby..."

„Po naradzie z przełożoną ułożyła swoje i rodzeństwa życie tak, aby móc wychować dzieci, zarabiać i uczyć się dalej. Po paru dniach przełożona wystarała się o korepetycję. Dostała ich osiem. Od 8-mej do drugiej po południu była w szkole, od 3-ciej do 11-stej wieczorem uczyła dzieci na różnych krańcach miasta, od 11-ej do późnej nocy przygotowywała lekcje na dzień następny. Między jedną, a drugą korepetycją wpadała do domu na chwil parę, aby coś zarządzić i sprawdzić co robią dzieci; wieczorem spisywała na kartce skromne, nędzne wydatki, obliczała grosze, oglądała buty i bieliznę małych. Do szkoły jednak chodziła wytrwale".

„Sabka! gdybyś naprawdę sama zdawała sobie sprawę z tego, czegoś dokonała, inaczej patrzałabyś na życie. W takich warunkach, w takiej walce... Masz przed sobą teraz otwarte wszystkie drogi życia...

„Otwarte? Przez te otwarte drogi wypełnione miljonowym tłumem bezrobotnych i głodnych, nie wiem, czy starczy sił przecisnąć się z matką i dziećmi na ten drugi brzeg, gdzie wybrańcom dają chleb i pracę. Dopiero pierwszy etap walki o jutro skończony".

„Głucho stuknęła duża koperta z podaniem o dno skrzynki na ten cel przeznaczonej w hallu ministerstwa.

„Sabka postała chwilę w zamyśleniu...

„Nagle jakieś nowe mocne, twarde nieugięte postanowienie odbiło się w jej czarnych smutnych oczach...

„Uśmiechnęła się gorzko. Zacisnęła chude pięście, aż paznokcie boleśnie wpiły się w skórę i energicznym krokiem wyszła na ulicę.

„Wytrwam... szepnęła prawie głosem wchodząc w płynący tłum przechodniów".

Tym słowem „wytrwam" kończy Kamińska swą powieść o Sabince — chciałoby się napisać „pierwszą część powieści", bo Sabinka żyje obok nas, jest istotą bliską, z którą pragniemy dalszego kontaktu.

W tym słowie „wytrwam" jest całe, wspaniałe hasło, które faktycznie każdy z nas powinien powtarzać, jak przykazanie, w skrócie zawierające program i linję życiową. Takim jednostkom należy usunąć bodaj jedną zaporę na drodze do zwycięstwa, uwolnić ją bodaj od jednego wroga osłabiającego wolę. Trzeba je uświadomić o całej grozie alkoholizmu, by zdrowie wewnętrzne okrzepło, by nie traciły nic ze swych możliwości, by charaktery się nie paczyły, a wola wytrwania do końca pozostała niezłomną.

*

*   *

Twórczość Haliny Górskiej jest całkowicie przepojona zagadnieniami społecznemi. Zresztą zupełnie wyraźnie w przedmowie do „Nad

Czarną Wodą“ [1]) powiada, że książka jej jest tendencyjna, a „tendencją moją jest właśnie nauczenie młodzieży szacunku dla swoich własnych poczynań i dla samej siebie“. Dodam, że wiele, wiele innych jeszcze tendencyj jest w tej pięknej i smutnej książce.

Bohaterami jej są dzieci — kilku chłopców z Powiśla, brudnych i obdartych, i ten jeden z nich Jacek Martyniak, syn ojca pijaka, który „idzie ulicą w dwunastostopniowy mróz, prowadząc przed sobą zawinięte w swoje stare palto rodzeństwo. Owinął niem całą trójkę naokoło i trzymał za obydwa rękawy, niby za lejce. Wytarta, połatana kurteczka, dziurawe buty, z których wyglądają palce i zuchowato na bakier nasunięta czapka.

„Dzień dobry Krysiu! — mówi wesoło, podnosząc na mnie swe szare oczy i usiłując uśmiechnąć się zsiniałemi wargami. Zdaje się, że moje robaki strasznie dziś zmarzły... I widzę go jak z płonącemi oczyma, rozognionymi policzkami protestuje przeciw wszelkiemu uciskowi przeciwko wielkiej krzywdzie. I jak gorącym głosem deklamuje „Redutę Ordona“. I jak kładąc swą drobną, ale już spracowaną rękę na ręce matki, mówi cicho, lecz stanowczo patrząc w jej zaczerwienione od płaczu oczy: Mamo, przecież ja z tobą jestem“.

Gromadce swych wiernych przyjaciół opowiada Jacek o swoim ojcu:

„Widzicie, dawniej był inny. Pamiętam przecież kiedy byłem mały. Wyrzucono go z fabryki, bo ktoś rzucił na niego podejrzenie, że ukradł. I od tego czasu zaczął pić. Wódka zrobiła go takim, a jest za słaby, żeby przerwać! Och! Kiedy jest trzeźwy żałuje przecież zawsze! Tak mu jest wtedy na duszy, że aż się serce ściska, gdy się patrzy na niego. Nie śmie podejść do dzieci i pogłaskać ich, bo widzi, że się go boją. I unika mego wzroku i wzroku matki — tak strasznie, tak aż do dna się wstydzi. I ja zawsze też się wstydzę, tak, że nie wiem już, czy więcej się go boję trzeźwego, czy pijanego. Teraz jest tam pewnie w domu i przysięga, że już nigdy... I przecież on naprawdę w to wierzy. I Jacek począł znowu szlochać.

„Było zupełnie cicho, tylko słychać było ten płacz, a potem i on umilkł. I już nic.

„Nie wiem, jak długo tak siedzieliśmy, aż nagle odezwał się Jasiek. W pierwszej chwili tośmy nawet nie poznali jego głosu, bo zdawało nam się, że to niemożliwe, żeby ten głos, taki poważny i głęboki, należał do Wiewiórki.

„To dziwne — powiedział, — to takie dziwne i straszne, gdy nagle z człowieka wychodzi zwierzę. I tak się nawet przecież tylko mówi „zwierzę“, bo zwierzęta nie są nigdy ani złe, ani okrutne. Nie zwierzę, a „bestja“.“

A z tych zwierzeń o osobistem nieszczęściu Jacka wywiązała się długa decydująca rozmowa:

„Zimny powiew nocy przeniknął nas aż do kości. Drżeliśmy z zimna i lęku. Co żyło właściwie w nas samych?

„Oto stanęło przed temi dziećmi jeszcze i już nie dziećmi, wszystko, na co patrzeć je nauczyła ulica. Nędza i obojętność. Rozpusta i pi-

---

[1]) Halina Górska: „Nad Czarną Wodą“. Warszawa. Rój. 1937. str. 213.

jaństwo. Brutalne chamstwo i okrucieństwo bez granic. Niechlujne nory - mieszkania. Wstrętne szynki. Blade dziewczyny pod latarniami:

„Czy to tylko, czy to tylko to, do czego są przeznaczeni?!

„Zdawało się, że nagle zanikła wszelka radość, wszelkie piękno życia".

„A w dole płynęła rzeka... Czarna, czarna woda...

I wtedy pierwszy zbuntował się Jacek Martyniak...

„Jacek Martyniak bity i głodzony chłopiec z Powiśla rzucił to pytanie — dlaczego?

„Dlaczego tak jest i czy naprawdę tak musi być?

„Dlaczego w ciasnych, wilgotnych i zimnych izbach gnieżdżą się całe rodziny robotnicze?

„Dlaczego *wódka* jest jedyną pociechą złamanych serc i okaleczonych ciał?

Zbyt daleko odbiegłabym od zakresu wyznaczonego ramami pisma, gdybym przytoczyła owe dalsze liczne, tragiczne pytania „dlaczego" — niech każdy przeczyta sam tę książkę, niech się nad nią głęboko zastanowi. Ja przechodzę dalej, do miejsca, gdzie owo „dlaczego" rozpaliło serca i „podnieśliśmy bunt. Bunt serc".

„że nie może tak dłużej być i że podły ten, kto tylko patrzy!"

„Trzeba stać się poszukiwaczem Prawdy, tak jak byli poszukiwacze Złota.

„Trzeba najprzód w sobie, potem w innych wyzwolić człowieka!

„Trzeba rozpocząć walkę o nowe Jutro ziemi!

„I założyliśmy zakon walczący, jak dawniej były zakony krzyżowe. Ogłosiliśmy krucjatę:

„Przeciw złu!

„Przeciw ciemnocie!

„Przeciw krzywdzie!

„Przeciw kłamstwu!

„Przeciw obłudzie!

„Tam nad tą rzeką, pod gwiazdami, przysięgliśmy!

„I tak powstał Zakon Błękitnych Rycerzy.

„A w dole płynęła rzeka, czarna i cicha".

Spójrzmy teraz na wrogów, z którymi stają do walki Błękitni Rycerze: Zło, ciemnota, krzywda. Ileż zła, ciemnoty i krzywdy wyrządza alkohol! Walcząc z nimi musimy walczyć z alkoholizmem.

Sprawa walki z alkoholizmem, bynajmniej nie przesłania mi istnienia całego tragizmu ogólnych warunków społecznych, bynajmniej go nie lekceważę i nie spycham na plan drugorzędny — tylko trzymając się ściśle zakresu zagadnienia, któremu służy „Trzeźwość", ograniczam się do uwypuklenia spraw związanych z alkoholizmem, a zwłaszcza jego skutków natury społecznej. Oprócz tego, mam głębokie przeświadczenie, że skuteczną walkę o rzetelną, istotną odmianę warunków społecznych będą mogli przeprowadzić ludzie pełnowartościowi, ludzie nie zatruci alkoholem, a więc władający całym bogactwem rozumu, pełnym wysiłkiem woli i szlachetnym entuzjazmem serca.

Tylko tacy zmienią oblicze ziemi i tylko tacy zrealizują piękne marzenia naszych dzieci z Powiśla.

A poniewierka dzieci spowodu alkoholizmu starszych, jest strasz-

na, wywołująca przerażenie i nakazująca krucjatę przeciw temu bezlitosnemu mordercy najlepszych i najniewinniejszych istot.

Oto co pisze Górska o drugim Rycerzu Błękitnym, Pawełku—sierotce:

„W domu rzadko czekała na Pawełka gorąca herbata. Najczęściej ciotka dawała mu tylko do ręki kawałek chleba i, wskazując leżące na łóżku i na stole paczki z bielizną, mówiła krótko:

„Roznieś to!

„Czasem Pawełek próbował oponować: nauczyciel i tak gniewał się już na niego, że ciągle opuszcza szkołę, lub spóźnia się, a przytem — tak zmarzł w ogonku i te dziurawe buty... Ale czynił to bardzo rzadko, gdyż przy stole siedział zwykle wujek i, patrząc przed siebie przekrwawionemi „po przepiciu“ oczyma, pił herbatę z cytryną.

„A po przepiciu wujek szukał tylko, powodu potrafił zaś i bez...

„Pawełek ledwie śmiał oddychać w jego obecności. „Zepsuty“ ten chłopiec otrzymywał bowiem tyle razów, że gdyby stosowano do niego chłostę, jako środek pedagogiczny i gdyby popełniał codzień jakiś wysoce zdrożny i niemoralny uczynek, sprawiedliwości stawałoby się zawsze zadość: Pawełek brałby już na nie niejako zaliczkę z góry.

„Nie ogrzawszy się nawet w izbie, brał Pawełek paczkę i wyruszał znowu w drogę“.

„Na obiad zjadał trochę pozostawionej dla niego w tajemnicy przed wujem gorącej zupy i pomagał ciotce wynosić baniaki z mydlinami, a w sobotę szedł szorować podłogę do sklepiczarki, która dawała mu zato czasem parę groszy, a czasem zeszyt. Do domu bał się tego wieczoru wracać. Sobota, to dzień wypłaty, a w dzień wypłaty wujek zawsze bywał pijany. Nawijać mu się wtedy „pod rękę“ było lekkomyślnie i nieostrożnie. W najlepszym razie chwytał on wtedy „darmozjada“, jak stale nazywał siostrzeńca żony za kark i jednem kopnięciem wyrzucał za drzwi.

„To też Pawełek „wolał“ nie wracać do domu.

„Siadał przed domem na drewnianych schodach sklepiku i czekał cierpliwie, aż wujek zaśnie i ciotka zejdzie zawołać go na górę.

„Ale mijały godziny i nikt nie schodził.

„Pawełek wtulał jak najgłębiej głowę w kołnierz kurtki i chuchał w ręce, aby rozgrzać je nieco. żeby jednak nie mieć wyglądu „zmokłego psiaka“, pogwizdywał i rzucał pod adresem idących do szynku naprzeciwko ordynarne wyzwiska.

„Co to wyrośnie z tego andrusa! wzdychał stróż, zamykając bramę.

„Na ulicy coraz mniej było przechodniów, a potem zupełna pustka. Tylko w białej mgle błyszczały latarnie, a z szynku dolatywał ryk gramofonu, pijackie okrzyki i ochrypły śmiech. Chwytał pierwszy przymrozek i mokre nogi Pawła, kostniejąc, bolały go i piekły nieznośnie. Wilgotne dreszcze stawały się to zimne, to gorące, zmęczona głowa ciężyła.

„Jakiś zgrzyt klucza w zamku!

„Nie. To nie ciotka.

„To tylko sąsiad, stróż nocny w pobliskim składzie drzewa, wychodził na robotę.

„I Pawełek doznawał nagle wrażenia, jakgdyby nie był znanym przecież całej ulicy andrusem Pawłem, ale po prostu, mimo swych lat trzynastu, małem opuszczonem dzieckiem, któremu także się należy jakiś dom i matka i miejsce na świecie!

„I poczynał płakać cicho teraz, gdy nikt go przecież nie mógł zobaczyć, tak, jak każde zwykle niezepsute i pozbawione złych instynktów dziecko...“

Końcowe strony książki przynoszą nam takie oto postanowienia Rycerzy Błękitnych:

„Flotę mamy, bo 150 zł., starczy aż nadto na sztandar, więc to, co posiadamy w kasie, możemy puścić. Jakby tak na mnie, tobym kupił kiełbasy, karmelków i piwa, i użylibyśmy, że ha!

„Ta myśl spodobała się jakoś wszystkim więcej niż akademia, tylko piwo postanowiliśmy zastąpić przez lemoniadę gazową, bo za namową Jacka daliśmy sobie słowo, że nie będziemy nigdy używać napojów wyskokowych“.

Do pięknych szczytnych haseł Zakonu Błękitnych Rycerzy należy dodać jeszcze jedno, równie jasno, szczerze, odważnie ujęte: Precz z alkoholem, a wszystkie następne zyskają tylko na sile, nabiorą mocy, szybciej staną się wymarzoną, wytęsknioną rzeczywistością.

W „*Ślepych Torach*“ [1]) Haliny Górskiej (jest to pierwsza część większej całości pod tytułem „Barak Płonie“) opowieść się toczy w dwu kierunkach: jeden biegnie „ślepym torem“ wraz z życiem kilku rodzin, mieszkających w piwnicach domu na ulicy Dekerta we Lwowie — a drugi wślizguje się do głębin sumienia pracowników społecznych, w postaci trawiącego pytania *o celowości* pracy społecznej w ramach obecnego ustroju, bezsilnego wobec istnienia takich beznadziejnych ognisk nędzy materjalnej i nieodłącznej nędzy moralnej. Czujna, wrażliwa i wnikliwa myśl pracowników społecznych przeżywa i przetrawia zagadnienie celowości pracy społecznej w sposób niesłychanie indywidualny, w zależności od swych emocjonalnych nastawień i własnych dróg życiowych, w dużej mierze wpływających na powstawanie podstawowych kompleksów psychicznych, zasilających, lub paraliżujących zdolność samej pracy. Otóż owa analiza stanów psychicznych, przeróżnych nasileń i zmian nastrojów, przeżywanych przez działaczy społecznych jest w tej pracy bardzo ciekawa i subtelna.

W piwnicach domu przy ulicy Dekerta alkoholizm panoszy się bezkarnie. I czy to będzie pijak, czy awanturnik Rudzki, czy przepita do szpiku kości prostytutka Marja Kubiak — zawsze najtragiczniejszemi ofiarami tego wszystkiego będą dzieci. Spajanie dzieci przez matki, które w najserdeczniejszej trosce o dziecko dają mu wódkę, namawiają, zmuszają do picia, jest czemś potwornem.

„Stasi nie brakowało niczego. Matka nie żałowała jej. Naniosła jej wędliny, bułek, cukierków, czekolady, ciastek z kremem, naści córuchno! A jak szło dobrze, to i piwa, i wódki jej przyniosła. Tylko, że przy wódce to się zawsze z nią kłóciła, bo Stasia lubiła tylko słodką,

[1]) Halina Górska: „Ślepe Tory“. Warszawa. Rój. 1937. Str. 247.

a Mama znowu chciała, żeby Stasia piła gorzką, bo to dobre na żołądek i na przeziębienie. A żołądek Stasia miała słaby i prawie zawsze kaszlała.

„Pij, Stasiu, nie grymaś, mówiła jej sublokatorka Julcia. żebym ja miała taką matkę, tobym jej ręce i nogi całowała.

„Ale Stasia wolała już nawet lekarstwo z poradni, niż tę gorzką".

Zabawy dziecinne, naśladujące rodziców, są wymownym dowodem, do jakiego stopnia rzeczywistość zatruwa psychikę maleństw, jak ją przygnębia, pozbawia najcenniejszych darów wyobraźni, uniemożliwiając im bodaj w zabawie przeniesienie się do innego świata. Starszym wódka daje zapomnienie, odejście od nędzy, lecz dzieci na trzeźwo, grające tragedję pijackiej brutalności rodziców, gdyż tylko ona wdziera się siłą rzeczy do ich świadomości, nie znają nawet tych ułud, jakie są udziałem dorosłych w pierwszym stadjum zamroczenia alkoholowego. One na jawie i w zabawie, przeżywają tylko, brutalne sceny, wywołane wódką.

Mała Mańka, ściągająca na „niby" buty z nóg „niby" pijanego męża i zawodząca „a po co ja wychodziłam za tego pijaka! Ach, żeby on do rana nie doczekał", urasta do symbolu jakiejś ponurej tragedji małego, bezbronnego człowieka, nad którym znęca się potworny los, trzymający go w kleszczach nędzy, bez żadnej nadziei ratunku.

Jeśli się do głębi rozważy i przemyśli twórczość Haliny Górskiej, to mimo woli musimy zadać sobie pytanie, czy praca społeczna, prowadzona w obecnych warunkach ustrojowych, również nie kroczy „ślepym torem", nie prowadzącym do realnej pozytywnej poprawy, i czy nie jest jeno wyładowaniem pewnych potrzeb psychicznych, które są udziałem danego typu ludzkiego, określonego ogólnym mianem „społeczników?" Zjawia się dręczące pytanie, może brutalne, może bolesne, ale szczere: czy praca społeczna potrzebna jest nędzarzom z ul. Dekerta, czy też *potrzebują* jej sami społecznicy? Na to pytanie niema jednej wspólnej dla wszystkich odpowiedzi. Każdy we własnem sumieniu musi znaleźć „swoją" prawdę, swoją własną odpowiedź. I po to jest właśnie napisana ta książka — to też niech każdy weźmie ją do ręki — dopomoże mu ona w niejednej wątpliwości i zmusi do rzetelnego porachunku z samym sobą.

„Druga Brama" [1]) Haliny Górskiej daje nam przekrój życia dwu dziewczynek: Krysi, z pierwszej bramy, córki lekarza — i Adeli, z drugiej bramy, córki biednej kobiety, obarczonej kilkorgiem dzieci.

Jest to doskonałe studjum psychologiczne dwu dziewczynek, z dwu odmiennych środowisk, uderzające swą precyzyjną analizą różnych struktur psychicznych, ściśle uwarunkowanych zespołami obyczajowymi i myślowymi przeciwstawiających się klas społecznych.

Jaknajgoręcej polecam wszystkie książki Haliny Górskiej, bo mają one wielką wartość artystyczną i wychowawczą.

Hanna Nałęcz-Ostrowska Szymańska.

---

[1]) Halina Górska: „Druga Brama". Warszawa. Rój. 1937 r. str. 245.

NIE DAWAĆ DZIECIOM ALKOHOLU!

(Odczyt wygłoszony przez Radjo w Wilnie dn. 11-go grudnia 1937 r.).

Towarzystwo walki z alkoholizmem „Mens“ w Wilnie zwraca się z gorącą prośbą do wszystkich rodziców i opiekunów, by strzegli swe dzieci przed użyciem alkoholu. Wszystkim wiadomo, że, niestety, w Odrodzonej Ojczyźnie pijaństwo szeroką falą rozlewa się po całym kraju. Piją nie tylko dorośli mężczyźni, przedstawiciele inteligencji oraz lud robotniczy i wiejski, ale piją kobiety i dziewczęta, a nawet młodzież szkolna i pozaszkolna, słowem wszystkie stany. Przyczem zostało zaobserwowane groźne zjawisko, mianowicie alkoholizacja wśród młodzieży, wśród uczniów szkół powszechnych i średnich. Sprawa alkoholizacji młodzieży szkolnej zaniepokoiła władze szkolne i społeczeństwo. Gazety i pisma specjalne już stale poruszają tę sprawę, podkreślając niebezpieczne następstwa, jakie wypływają z tego zjawiska dla życia społecznego. Stwierdzono, że po pierwsze alkoholizm rozpowszechnił się szczególniej w ostatnich czasach, wśród uczącej się młodzieży i że po drugie — alkohol dzieci znajdują we własnej rodzinie, że po trzecie — alkoholizm poważnie zagraża naszym dzieciom, prowadząc je do wyradzania się fizycznego i duchowego. Najsmutniejsza rzecz, że ojcowie, pijąc wódkę, dają ją dzieciom i nawet zachęcają do picia. W rodzinach robotniczych, rzemieślniczych nieraz ojciec chwali się, mówiąc, „a u mnie Kaziuk dobrze goli“, a Kaziuk ten liczy 13, 14, 15 - 16 lat. Widzimy więc, że właśnie rodzice alkoholizują swe dzieci, popełniając wielką zbrodnię wobec Boga, Ojczyzny, społeczeństwa i obarczając swe sumienie śmiertelnym grzechem.

Nie lepiej dzieje się i w rodzinach ze sfer inteligentnych. Nieszczęsny ojciec rodziny, opanowany nałogiem pijaństwa, zapomina, że jest ojcem, mężem, obywatelem, zatraca poczucie wstydu, honoru, doprowadza rodzinę do ruiny, wreszcie popełnia wielkie przestępstwo, płodząc dzieci, obarczone dziedzicznie. Stwierdzono, że dzieci alkoholików są obciążone dziedzicznie, są słabo rozwinięte fizycznie i umysłowo, rodzą się często ułomne, albo głuchonieme, niewidome, często cierpią na padaczkę. Często są kapryśne, nerwowe, trudne do prowadzenia. Potwierdzają to doskonale przychodnie dla dzieci, obarczonych dziedzicznie, oraz szkoły dla anormalnych, niedorozwiniętych umysłowo dzieci. Nieszczęsne te istoty, ograbione z radości życia, są ciężkiem oskarżeniem rodziców, społeczeństwa, które w ten sposób zmarnowało swój skarb największy, jakim jest zdrowe dziecko.

A wiadomo jest przecie, że „dziecko jest majątkiem narodu, jego chlubą, siłą i przyszłością“.

Ojciec, nadużywający alkoholu, już będący w kleszczach nałogu, i ojciec pijący, jak to mówią, umiarkowanie, ale stale, nie chcą wiedzieć o tem, jak strasznie, zabójczo działa alkohol na młodociane organizmy pod względem fizycznym i duchowym. Alkohol działa niezmiernie szkodliwie na wszystkie organy, nie oszczędzając żadnego, a więc na organy trawienia, na nerki, wątrobę, na płuca, serce, na oczy, słuch i t. d., co powinno być wszystkim dobrze znane. Ale szczególniej niebezpieczne jest

działanie alkoholu na młode jeszcze rozwijające się organizmy. Teraz zrozumiemy, dlaczego dzieci, pijąc alkohol, mają wygląd cherlaczy, są słabowite. Należy jeszcze podkreślić, że alkohol rozwija przedwcześnie u młodzieży popęd płciowy; właśnie alkohol stał się przyczyną tak silnego rozwoju erotyzmu, jaki daje się zauważyć wszędzie w ostatnich czasach wśród młodzieży płci obojej. Należy pamiętać jeszcze, że przedwczesne dojrzewanie płciowe mści się okropnie w dalszem życiu młodzieży. Jeszcze gorsze jest działanie alkoholu na duchową stronę dziecka. Alkohol, działając na mózg i nerwowy ustrój dziecka, wywołuje osłabienie pamięci, ospałość, rychłe męczenie się przy pracy; powoduje zanik uczuć religijnych i moralnych, wzmaga wszelkie wady; rozwija krnąbrność, zuchwałość, skłonność do złośliwych psot, do okrucieństwa w stosunku do słabszych kolegów i zwierząt. Wreszcie powoli stają się nałogowymi alkoholikami, a potem małowartościowymi obywatelami, a w przyszłości małowartościowymi ojcami rodzin.

Czyż nie przeraża nas ta ponura litanja ujemnych cech i moralnych i fizycznych, jakiemi obdarza alkohol młodocianych pijusów?

Oczywiście powstaje pytanie, co robić, jak ratować młodzież, która już zaznała smaku alkoholu i jak uchronić młodzież przed użyciem alkoholu?

Odpowiedź krótka.

Przykład starszych, własny przykład rodziców, a głównie ojca, jego trzeźwość, wstrzemięźliwość, wyrzucenie alkoholu raz na zawsze z życia swego i z domu swego, to jest obchodzenie uroczystości familijnych, naprzykład chrzcin, imienin, wesela bez użycia alkoholu. Następnie większe zainteresowanie się własnem życiem dzieci, ich potrzebami rozrywek, ich przeżywaniami, oraz zainteresowanie się towarzystwem, w którem ich dzieci przebywają. Wreszcie szkoła winna zabrać się do planowej i energicznej walki z alkoholizacją młodzieży szkolnej w ścisłem porozumieniu się z rodzicami. Wskazanem i pożądanem jest, by kierownictwa szkół organizowały na zebraniach rodziców odczyty, pogadanki w celu zaznajomienia ich ze sprawą alkoholizacji młodzieży. Panowie Kierownicy mogą zwracać się do T-wa: „Mens“ — ul. Wielka 46 z prośbą o delegowanie prelegentów. Oczywiście, Szkoła musi świecić osobistym przykładem abstynencji, to jest wstrzymaniem się od użycia alkoholu jej dyrektorów, kierowników i nauczycieli.

Prof. Zygmunt Hryniewicz,
Prezes Wileńskiego Tow. walki z alkoholizmem i innymi nałogami „Mens“.

ZJAZD DELEGATÓW KÓŁ TOWARZYSTWA „TRZEŹWOŚĆ“, KOŁA LEKARZY ABSTYNENTÓW I POKREWNYCH ORGANIZACYJ odbędzie się w Warszawie dnia 29 maja 1938 roku w lokalu Tow. „Trzeźwość“ (Oboźna 4). Zjazd poprzedzi Zebranie Towarzyskie jego Uczestników dn. 28.V. o godz. 19 w tymże lokalu. Szczegółowy program Zjazdu ogłoszony i rozesłany zostanie w niedługim czasie.

MODELKA.

— Więc mogę na panią liczyć? Będzie pani tutaj jutro wieczorem przed siódmą?

— Panie profesorze, chciałabym bardzo zarobić, ale to dla mnie okropne! Doprawdy nie wiem...

— Urządza pani jakieś historje z rzeczy najprostszych! Pozowała pani moim uczniom do rysunku głowy, póki tylko tego była potrzeba. Teraz zaczynamy wieczorny kurs aktu — daję dwa razy więcej za godzinę. Znajdę dużo lepszych modelek, a pani się jeszcze waha! Ze względu na pani warunki domowe, chciałbym jednak przyjść wam z pomocą.

— Panie profesorze, właśnie te warunki — mąż nie zgodziłby się nigdy! I ja...

— Co mężowi do tego? Wiedzieć nie potrzebuje. A pani, jakiś tam wstyd, upokorzenie. Robi się to przecież i dla sztuki.

Smutną twarz Marji Reczowej wykrzywia ironiczny uśmiech.

— Dla sztuki? Czy uczyniłaby coś podobnego która z pań mnie rysujących?

— To nic nie ma do rzeczy! — przerywa szorstko malarz. — Też porównanie... Więc poraz ostatni zaznaczam: albo zgodzi się pani od jutra do aktu, albo przestanę panią zupełnie polecać. Mam wziąć inną modelkę?

— Nie, nie! — Marja zagryza wargi, hamując łzy cisnące się do oczu. — Nie, ja przyjdę, napewno przyjdę! Zapłatę dostanę za każdym razem? jak pan obiecał.

— Tak. To najważniejsze — uśmiecha się malarz wesoło. — I pocóż było zabierać mi tyle czasu? Dowidzenia! — Profesor wychodzi pierwszy, przytrzymując chwilę drzwi przed Reczową.

Modelka! Idąc już ulicami kuli Marja ramiona, jakby to słowo padało zewsząd z ust przechodniów. Słowo — wymawiane przez nią dawniej z lekceważeniem, pogardą prawie.

Dawniej... Jej osiemnaście lat zdaje się teraz czemś bardzo odległem po latach zaledwie sześciu. Jej osiemnaście lat, dnie wypełnione pracą, w sklepie i te wolne niedziele spędzana z Olkiem na dalekich zamiejskich wycieczkach. Różowe wrzosowiska, na białym sypkim piasku rozciągnięty pled, twarz chłopca śmiejąca się do niej z pod otoka mundurowej czapki... Jak ogromnie pragnęła Marja być zawsze z nim razem! I przyszło spełnienie marzeń — ślub, małe mieszkanko, gdzie oboje spotykali się po pracy...

Lecz po upływie paru zaledwie miesięcy — zauważyła Marja, że inaczej sobie wyobrażała ich wspólne życie. Mąż lubił pić za wiele. Nałóg, o którym wiedziała zresztą od początku ich znajomości, nabrał obecnie w jej oczach całkiem odmiennego znaczenia. To, co przed ślubem zdawało się Marji tylko silniejszem zaakcentowaniem męskości Olka, co wpływało na zwiększenie żaru pocałunków i wyzwalało rozkoszny humor poważnego raczej chłopca — teraz zaczęło ją niepokoić. Bo Olek bywał nieobliczalny w wybieraniu pory swych pohulanek, a że praco-

wał na kolei i zdarzało mu się chodzić nietrzeźwym na służbę — mogło to mieć dla niego skutki nadzwyczaj przykre.

Wkrótce, niestety, spełniły się obawy Marji. Przyszła nagana, potem surowe ostrzeżenie, wreszcie został usunięty z posady. W drugą rocznicę ich ślubu był już bezrobotnym. Teraz do zajęcia rano wychodziła tylko żona.

Aleksander Recz zapijał przygnębienie. Pił coraz więcej, jednak wódka nie dawała mu uspokojenia. W rozdrażnionym stale, szorstkim i opryskliwym człowieku — trudno się było Marji doszukać dawnego zakochanego Olka. Twierdził, że go upokarza życie na utrzymaniu kobiety, lecz mimo to przepijał często jej ciężko zapracowane pieniądze. W dodatku — zaczął roztaczać nad nią opiekę. że nie powinna pozwolić na wyzysk swej pracy, że należy się jej podwyżka, lepsze traktowanie — jakby fakt posiadania męża pijaka miał żonie dawać niezaprzeczone przywileje. Niechby już lepiej nie myślał o niej wcale! Bo w rezultacie, gdy podpity wstawił się za nią do szefa i rzucił obelżywe słowa o braku ludzkości — został wyrzucony za drzwi, a Marja z posady.

Po długich staraniach dostała u znajomych państwa miejsce przy dzieciach — wychowawczyni, jak mówiła mężowi. Olek nawet tak określoną posadę uważał za ubliżającą dla Marji. Zaczął znowu odgrywać rolę opiekuna, parę razy przyłączył się do niej pijany, gdy w parku siedziała z dziećmi — straciła i to zajęcie.

Mieli jeszcze wtedy mały kapitalik, który Marja wniosła mu w posagu — trochę pieniędzy, jakie jej pozostawili zmarli dawno rodzice. Po kilku miesiącach daremnych poszukiwań pracy — musiała z tego czerpać. Chociaż oszczędzała na wszystkiem—znalazła tani pokoik na poddaszu — pieniądze skończyły się przed upływem roku. Nie było z czego pokrywać koniecznych wydatków, a mąż żądał stale na potrzeby reprezentacyjne, mówił, że stosunki towarzyskie ułatwią mu otrzymanie posady, niech tylko Marja trochę poczeka...

I — doczekała się! Nadchodzi wiosna, z nią zanika prawo korzystania nadal z nieopłaconego od paru miesięcy pokoiku. Została więc modelką.

— — — — — — — — — — — — — —

Marja przed chwilą powiedziała mężowi o zwiększonej liczbie godzin pozowania i że będą to godziny wieczorne. Rzecz prosta, skłamała, mówiąc jedynie o rysunku głowy, bo inaczej nie może uczynić — wszak Olek był niezadowolony i z tego zajęcia, gdy dostała je przed paru tygodniami.

Szyjąc przy lampie, Reczowa obserwuje ukradkiem męża, który chodzi wzburzony. Zatrzymuje się przed nią ze złością.

— Dałabyś raz spokój tym wiecznym reparacjom! Myślisz, że stare łachy zastąpią coś porządnego! Ścibolisz i ścibolisz, a ja niedługo ludziom nie będę mógł pokazać się na oczy!

— Zdenerwowany jesteś, Olku — Marja przysuwa bliżej do żarówki cerowaną na łokciach marynarkę. — O, widzisz, prawie nie znać, a ty...

— A ja... tak! — wyrywa jej z rąk ubranie i rzuca o podłogę. —

Czego płaczesz? Na, masz z powrotem! Zdenerwowany jestem, mówisz. Gdybyś była na mojem miejscu i twojem utrzymaniu... Głupia historja, żona pozuje do głowy! I teraz każesz mi się cieszyć, żeś otrzymała więcej godzin! Każdy idjota może się na ciebie wygapiać za marne parę złotych! Twoje pomysły, jak zawsze — licha warte. Zamiast znaleźć coś porządnego — ona pozuje! Nigdy nie potrafiłaś się szanować. Wtedy w sklepie było taksamo...

Marja patrzy zaczerwienionemi oczami na męża. Jak zwykle — rozumowanie jego pozbawione sensu odbiera chęć do wszelkich dyskusji.

— Wielka radość, że ci dali więcej godzin! Rzeczywiście, należałoby skakać z ukontentowania, ale ja nie umiem. Nie potrafię być nikim i obywać się niczem. I do tego, zaczniesz teraz wracać później do domu! Nie zrobisz mi nawet głupiej herbaty! Naturalnie, od czego jest mąż, niech przygotuje wszystko. Ty będziesz wolała latać pociemku, wracać w nocy, bo tak się pani podoba. Ale ja żyję jeszcze! Słyszysz? żyję... I dopóki jestem, nie dam, nie pozwolę! — tupnął nogą.

— Olku, uspokój się, pewnie piłeś znowu, a tak prosiłam... Na co nie pozwolisz, czego chcesz ode mnie? O, gdybyś wiedział...

— Wiem, wiem wszystko!

— Co wiesz, co? — Marja spogląda z przerażeniem. Czyżby mu ktoś powtórzył?

— Wiem, że masz mnie za nic, że jestem ciężarem, że mi żałujesz nawet głupiej wódki!

— Ja ci, Olku, nie żałuję, ale...

— żałuj, żałuj, twoje pieniądze! Lecz ja ci nie pozwolę, ja będę po ciebie codzień wieczorem chodził i czekał przed bramą — rozumiesz? Rozumiesz?! Ani mi się waż latać sama!

Mimo zgnębienia — uderza Marję jaskrawy komizm sytuacji: to pozowanie do aktu i czekający na modelkę mąż przyzwoitek! Ależ to operetka poprostu. śmieszne, bardzo śmieszne, jednak w gardle czuje zarazem łzy i nie śmie mężowi spojrzeć w oczy. Niepodobna, aby przychodził po nią, mógłby się dowiedzieć, woźny wygada lub ktokolwiek. Wszak o tajemnicę nie może nikogo prosić.

— Słuchaj, Olku, to doprawdy zbyteczne. Ja mogę sama wracać. Nie rozumiesz, że...

— Pojmuję, aż za dobrze, że jestem ci niepotrzebny. O, dopiero używałabyś beze mnie! Ale ja jeszcze żyję...

Marja zaciska ręce. W tej chwili nienawidzi prawie męża. Ona przez niego i dla niego zdobyła się na taką ofiarę, ma zostać modelką w całem znaczeniu tego okrutnego słowa — a on śmie do niej mówić w podobny sposób! Gniew na męża każe jej chwilowo zapomnieć o lęku i wstydzie, o długiem wahaniu w czasie rannej rozmowy z profesorem. Obecnie — widzi tylko konieczność pokonania mężowskiego uporu. Wszak on o niczem nie wie i mimo to jej przeszkadza!

— Olku, zastanów się, czego ty chcesz ode mnie?

— Zawsze mówię z zastanowieniem. Albo będę chodził po ciebie, albo nie pójdziesz tam wcale! Zrozumiano? A teraz zostaw te łachy i szykuj tapczan na noc! Czy i to mam robić?

Cisza. W zimnym pokoju słychać oddechy dwojga ludzi. Mężczyzna leży obrócony twarzą do ściany, śpi już głęboko. Kobieta czuwa, sku-

łona na samym brzegu tapczana. Na nic jej wszystkie projekty! Zapłacone komorne, nowe ubranie dla Olka, uregulowany nareszcie tryb życia — przepada wszystko. Za cenę jakiej ofiary miała to osiągnąć — nie myśli Marja w tej chwili. Bo tyle się należy w sklepiku i u węglarza, jej także buciki z nóg prawie spadają...

W miarę jak Marja rozważa nad tem, zaczynają blednąć jej obawy. Czyż koniecznie Olek miałby się dowiedzieć? A ona zarabiać musi, silną być musi za dwoje, wszak mąż jest tak słabym człowiekiem. Litość, którą Marja odczuwa dla śpiącego — roztapia resztki niechęci pozostałe w jej sercu po wieczornej rozmowie.

— Olku — trąca męża — śpisz?

Szarpnął się gniewnie. — Chyba, że nie! Budzi, a potem pyta! Co się stało?

— Olku, powiedzieć chciałam...

— Gadaj prędko, spać nawet nie da człowiekowi!

— Ja wiesz — przytula się do pleców męża. — Ja się zgadzam, abyś chodził po mnie, wiesz — do Akademji...

— Było mnie poco budzić! I tak nie dałbym inaczej! Od tego masz przecie męża, aby dbał o ciebie — odwraca się nagle i obejmuje żonę. — Przecież cię kocham, Maryśko...

— Kochasz? a ja myślałam... — Marji chce się płakać. W poczuciu wielkiej winy wobec Olka przyciska do ust jego rękę.

— Co ci? Dajże pokój! Jakieś komedje. No, śpijże lepiej...

Znowu słyszy Marja regularny oddech mężczyzny. Długo jeszcze leży bezsennie, ale jutrzejsza ofiara nie wydaje jej się ani tak ciężką, ani tak okrutną jak poprzednio.

— — — — — — — — — — — — — —

Duża, niska sala pod szklanym dachem. Drobne kwadraty szyb błyszczą w świetle żarówek na tle ciemnego nieba. Kilka już osób przygotowuje papier, rozstawia półkolem stalugi. Bardzo tu ciepło, prawie duszno, mimo huczącego w górze wentylatora. W głębi szeroki kaflowy piec, z boku jego — zasunięta kotara, gdzie się rozbierają modelki. Przed piecem — niski stół, na który wycelowano połyskliwy kielich jeszcze niezapalonego reflektora.

— Ależ gorąco, uf, rozpuścić się można! Napalili jak na mrozy.

— Proszę wziąć pod uwagę, koleżanko, że będzie ktoś nieubrany w tej sali. Modelka i w takiej temperaturze potrafi dostać gęsiej skórki. Po trzy kwadranse bez ruchu — można się ostudzić.

— Od tego są... Ale, ale — słyszałam, że profesor zgodził nową? Mówił dzisiaj na popołudniowej kompozycji.

— Pewnie znów stary babsztyl. Lekcja anatomji poglądowej — krzywi się chłopak o krostowatej, zblazowanej twarzy.

— Gdzie tam! Ładna i młoda — ta, która na pierwszym kursie pozowała do głowy — objaśnia żywo druga starsza koleżanka. — Znacie ją chyba z widzenia, panie Ryszardzie? Waszemu zmysłowi spostrzegawczemu nie ujdzie nigdy przystojna kobieta.

— Co mówicie? napewno? Widzę, że miałem rację...

— W czem właściwie?

— Mówiłem o niej ze Ślaskim, że napewno taka jak wszystkie. Kiedyś odezwałem się wesoło do niej, to w odpowiedzi spojrzała na mnie z miną, której mogłaby jej pozazdrościć królowa angielska. Na mały żarcik nie pozwoli człowiekowi! Pomyślałem zaraz, że to musi być ziółko. Taka dęta cnota!

Panna Zofja spogląda z niechęcią na kolegę.

— Dalibyście pokój. Profesor właśnie mi opowiadał, że ledwo zdołał nakłonić tę kobietę do całego aktu. Podobno jest w strasznych warunkach materjalnych, ma bezrobotnego męża pijaka.

— Pyszne, mężatka, ha-ha, powinszować szczęśliwemu wybrańcowi! Idealnie skromna żoneczka... Ależ wpadł! I on pozwala na to?

— Nic nie wie! Co wogóle pan widzi w tem śmiesznego? Raczej smutne...

— Pani wierzy, panno Zofjo? Ależ to wszystko blaga! Kazała się namawiać profesorowi, bo myślała, że utarguje więcej. A to, że mężatka — bujda! Może i była nią kiedyś, ale mąż dawno już musiał puścić kantem taki numer.

Wiesz, Leon — woła do mężczyzny wychodzącego z głębi kręconych schodów — niespodzianka dla ciebie! Ta mała, co ją nie dawno zaczepiłem... — zaczyna ciszej opowiadać Ślaskiemu

Panna Zofja mówi do siedzącej obok niej koleżanki:

— Doprawdy nie pojmuję profesora! To nakłonienie Reczowej do aktu wcale mi się nie podoba. Mógłby przecież ją polecić do innych szkół — niechby ją tam wzięto do głowy lub szkiców ubranej postaci, ale takie pozowanie... Brr! Rozumiem, co musi odczuwać porządna kobieta.

— Egzaltuje się pani, panno Zofjo! Profesor działa w najlepszej wierze, przyzwyczajony jest do kobiet łatwych i poprostu nie wierzy w szczerość jakichś skrupułów. Przytem — do rysunku głowy ciągle się zmieniają modelki, Reczowa nie zarobiłaby wiele. Akt zato jest doskonale płatny. Profesor nie tylko przez upór skłonił ją do pozowania, on naprawdę lituje się nad nią. W podobnych okolicznościach, niby przy pierwszej lekcji pływania w zimnej wodzie — trzeba wahającego się pchnąć naprzód!

— Tutaj, niestety, koleżanko, można i pogrążyć kobietę... Uważam, że profesor niepotrzebnie odgrywa rolę opatrzności. O, już przyszedł. Dobry wieczór! — kłania się malarzowi. — I jedno jeszcze pani powiem. Nerwowo nie znoszę wstydzących się modelek — to dla mnie pornografja. Może profesor na oczach wszystkich palić papierosa, rozmawiając w czasie przerwy z nagą, opartą niedbale o piec dziewczyną — będzie to lepsze od wstydliwości osoby, której się wstydzić nie wolno. Otóż i ona...

Przez salę szybko przechodzi Reczowa, nie patrząc na nikogo, znika w swym kąciku. Panna Zofja rozgląda się wokoło.

— Nieźle, szesnaście osób, zwykle bywa mniej w karnawale. Lecz pan Ryszard zupełnie mi się nie podoba. Taki cyniczny, choć zdolny, nawet bardzo. Może mi pani pożyczyć na chwilę scyzoryka? Zapomniałam swojego... — Patrzy na zegarek: — Długo się rozbiera ta nowa. Już nawet po siódmej.

— Proszę wyjść — rozlega się jakby w odpowiedzi głos profesora. — Czy pani jeszcze nie gotowa?

Lekkie poruszenie fałd kotary. — Ja doprawdy chciałam pana prosić...

— Co tam pani mówi? Proszę wychodzić, niema czasu na pogadanki. Zaczynamy!

Szczęknęły odsunięte kółka żółtej zasłony. Reflektor rzucił na płytę stołu snop jaskrawego światła...

— — — — — — — — — — — — — —

W kancelarji szkoły zadźwięczał ostro dzwonek telefonu. Sekretarz znowu rozmawia, obrócony do Marji plecami. Reczowej sprawia to ulgę, że nie patrzy na nią. Te kilkanaście minut, które tutaj czeka na swą należność — wydają jej się wiekiem. Gdyby mogła wypłakać się przed kimś, nie zamykać wstydu i cierpienia w samotnem rozpamiętywaniu... Umyślnie wyszła tak późno z domu na pozowanie, aby uniknąć czekania tam, na górze. Rozbierała się w pośpiechu, lecz pośpiech nie mógł zabić lęku, co chwytał ją za gardło. Piec grzał mocno, paliła twarz, piekła krwią napływającą do policzków. Czy tylko z gorąca? Nie, nie myśleć już o tem! Lecz przeżywa wszystko na nowo...

Znów słyszy, jak profesor się pyta, czy już gotowa. Stanęła bosemi stopami na zimnej podłodze i to otrzeźwiło ją znienacka, jakby dopiero wtedy pojęła, co ma uczynić za chwilę. Kolana ugięły się pod nią. Coś wyjąkała, pozbawioną pewnie sensu prośbę, bo usłyszała szorstki głos profesora: — Niema czasu na pogadanki! — tak to powiedział malarz. Reczowa musi spełnić swój obowiązek. Z poczuciem, że wszystko, co było dawną Marją, zostaje za tą zasłoną — wyszła na podjum...

Sekretarz skończył telefonować, mówi teraz do niej. Marja wraca do rzeczywistości. Słucha.

— Pani wybaczy, że czekała. Zaraz wypłacę. O, proszę bardzo, niema za co! Dowidzenia.

Marja schodzi zwolna z kamiennych, stromych stopni. Jedna, druga kondygnacja... Staje na półpiętrze, jest bardzo słaba. Chowa do torebki ciężkie srebrne monety, które dotąd ściskała w dłoni. Ręce ma wilgotne i zimne, ociera je chusteczką. Gdy tak stoi i patrzy w ciemny teraz witraż klatki schodowej — widzi nie kolorowe szkła, lecz salę, znowu salę, z której wyszła niedawno. Nie wie nawet, ile tam było osób, bo wszystkie zasłaniała twarz jedna pokryta pryszczami, twarz bladego młokosa, którego wzrok ironiczny czuła na całem ciele. To był chłopiec, co zaczepiał ją dawniej, wstrętny, brutalny człowiek. Spojrzała wtedy na niego z takiem lekceważeniem, a teraz on gardzić nią ma prawo...

Marja obróciła się ku schodom, aby zejść z nich dalej i staje z okrzykiem przestrachu. Spoglądają na nią te same bezczelne oczy.

— Czego się boisz, pięknotko? Patrzysz na mnie, jak na ducha... Zostawiłem paczkę w szatni i wróciłem po nią, a tu taki miły buziaczek!

— Niech pan... niech pan... ja pana... — Marja znieść tego wzroku nie może, tego uśmiechu, odsłaniającego szyderczo żółte zęby.

— Bez ceregieli, możesz mnie tykać, mała! Jesteśmy przecież dobrzy znajomi. Ja przynajmniej dziś wieczorem poznałem cię dokładnie.

Niczego masz figurkę... Tylko nie urządzaj znów szopek, już wiem coś za jedna.

Ciężką rękę kładzie na ramieniu Marji. Reczowa drętwieje, chciałaby krzyczeć, uciekać, a ruszyć z miejsca nie może. Na schodach pusto, wyszli już wszyscy.

Słychać czyjeś kroki wstępujące na górę. Młokos w podnieceniu nie zważa na nic, przyciąga Marję coraz bliżej. Wtem — zobaczyła kobieta wchodzącego na schody... Mąż! Boże, czekał tak długo, idzie po nią! Znalazła siłę, aby odepchnąć ramiona napastnika i zapomniawszy gdzie jest, poco tu była — w poczuciu wielkiej niezasłużonej krzywdy rzuca się ku Reczowi.

— Olku, ratuj... on mnie...

Ale Recz idzie już ku bklademu chłopcu. Twarz ma czerwoną i straszną, ściśnięte mocno pięście cofnął do tyłu.

— Jak pan śmie zaczepiać moją żonę, porządną kobietę, ja cię... ja ci... — zapienił się z wściekłości.

— żona — wyrzucił chłopak drwiąco — pan mnie grozi, a ona bezwstydna modelka, kogo pan broni, nie wie pan u licha?!

Odskoczył przed spodziewanym ciosem, lecz niepotrzebnie, bo ręce atakującego opadły.

— Pan mówi? Nie rozumiem... żona przecież do głowy!

— Ja tam widziałem więcej, naga pozuje, okłamuje pana, a pan... Niech sama zresztą powie!

— Maryśko, czy to prawda co on mówi?! To niemożliwe, powiedz, no powiedz!

Nie rzekła nic. Zaczęła cofać się ku stopniom, prowadzącym na dół. Olek, jej obrońca, dla którego uczyniła to wszystko— Olek się dowiedział! Twarz Marji blednie coraz bardziej, rozszerzone oczy wpiła w następującego na nią krok za krokiem męża. Nietrzeźwy, znowu pijany, jak mu to wytłumaczyć? Chociaż-by zaprzeczyła — nie uwierzy, napewno nie uwierzy...

Blady chłopak, pewny swego, tryumfujący, roześmiał się głośno. Śmiech ten potęguje wściekłość mężczyzny.

— Nie mówisz? Dlaczego nie odpowiadasz?!

Ruszyła bezgłośnie wargami. Zaledwie zdołała wyjąkać słowa:

— Olku, ja to dla ciebie... zrobiłam...

Nie mogła powiedzieć nic więcej. Twarda pięść męża uderzyła ją między oczy, jednocześnie uczuła, że leci w próżnię. Spadła z łoskotem z kamiennych stromych schodów.

— — — — — — — — — — — — — —

Dyżurny lekarz pogotowia skrzywił się niechętnie. Aleź ruch dzisiaj! Dopiero co wrócił od wypadku i wzywają go znowu. Podobno pęknięcie czaszki, jakaś modelka z wieczorowych kursów rysunku. Pęknięcie czaszki — wątpliwe uratowanie życia, a chociażby i umarła — to mała szkoda. Zawsze dosyć jest takich kobiet lekkiego prowadzenia...

Karetka pogotowia mknie przez ciche ulice. Pada drobny dokuczliwy deszcz. Doktór gasi niedopalonego papierosa. Są już u celu.

Roma Luxówna.

SZWEDZKI RUCH PRZECIWALKOHOLOWY I JEGO HISTORJA.

Szwedzki ruch przeciwalkoholowy daje się śledzić aż po czasy przedhistoryczne i już w okresie starych Wikingów nie brakowało rozumnych przywódców, którzy ostrzegali przed użyciem napojów upajających. Nawet w narodowym poemacie epicznym „Eddzie“ znajdujemy poszczególne strofy, które opisują nadużycie napojów alkoholowych. Tak więc między innemi powiedziano tam, iż miód jest rzeczą szkodliwą dla rodzaju ludzkiego, gdyż im więcej się go pije, tem mniej czuje się, jak szybko zanika rozsądek. W innej strofie opiewa się jako najpiękniejszą tę uroczystość, po której goście wracają trzeźwi.

Również w okresie średniowiecza ciągle odzywają się głosy, wykazujące szkodliwość alkoholu, jednakże nie dochodzi nigdy do jakiegoś zdecydowanego ruchu, czy też walki z alkoholizmem. W XVII stuleciu znany lekarz szwedzki Urban Hjörne próbował przed innymi przemówić ludziom do rozumu i w liście do swego kolegi daje w sposób następujący wyraz swym zapatrywaniom: „Byłoby dobrze, gdyby można było zlikwidować przeklętą wódkę, tem samem usunęlibyśmy wiele rzeczy, które szkodzą ludziom na duszy i na ciele. Niejeden wówczas żyłby napewno dłużej i lepiej“. Hjörne był człowiekiem energicznym, który uczynił wszystko, aby przeprowadzić swój program walki z alkoholizmem, jednakże bez powodzenia. Wielkim jego tryumfem było zwycięstwo w innej walce: jemu zawdzięcza Szwecja zlikwidowanie procesów przeciwko czarownicom w tym kraju.

Stulecie mijało za stuleciem i powoli wódka stawała się w Szwecji trunkiem narodowym. Sprawa posunęła się już tak daleko, iż matki zamiast piersi dawały noworodkom butelkę wódki, pastorzy zaś głosili z kazalnic, iż jest wprost niemożliwem wytrzymać zimny, nordycki klimat bez używania alkoholu. Chłop zawierał ze swem parobkiem umowę, którą zobowiązywał się do dania mu mieszkania, utrzymania i pewnej ilości litrów wódki tygodniowo jako zapłaty, zaś szwedzki robotnik czuł się w karczmie, jak w domu, do którego wracał tylko, aby się wyspać po pijaństwie. Kto nie pił, nie był uważany za pełnowartościowego mężczyznę, a nawet i kobieta nie pijąca była w pogardzie. Jednem słowem, stało się „modą“ pić, należało to poprostu do obowiązków człowieka. Ile wódki wypijano w owych czasach w Szwecji wykazuje statystyka: w roku 1829 wypadało 46 litrów wódki rocznie na jednego mieszkańca.

Wydawało się, iż naród szwedzki samowolnie gotuje sobie straszną dolę i wówczas pod naciskiem tej okropnej sytuacji, kilku odważnych mężczyzn na ich czele dyrektor szwedzkiego instytutu pomiarów gruntów Carl av Forsell, podjęło inicjatywę moralnego rozbudzenia Szwecji. Forsell wydawał pod tytułem „Wiadomości o stowarzyszeniach abstynenckich w Ameryce“ pismo, które rozchodziło się w olbrzymich ilościach egzemplarzy. Musiano drukować nowe wydania i av Forsell zaprosił swych współtowarzyszy do swego domu w Sztokholmie, gdzie też założono pierwsze towarzystwo do walki z alkoholizmem.

Rezultat jego pracy niezupełnie odpowiadał jego własnym pla-

nom. Sztokholm i Szwecja otrzymały nie jedno, lecz dwa stowarzyszenia przeciwalkoholowe. Stworzyło się jedno, które żądało absolutnej abstynencji i drugie, które w swym statucie dozwalało konsumowania pewnej ściśle oznaczonej liczby kieliszków wódki dziennie. Za przykładem Sztokholmu poszło wiele innych miast szwedzkich, stworzono podobne stowarzyszenia, które jednak szybko znów się rozwiązały. T. zw. „Stowarzyszenie Wstrzemięźliwości“ powitane było w całym kraju śmiechem i już po kilku miesiącach filje tych stowarzyszeń zostały zamknięte. Ruch abstynencki w Szwecji przyszedł za późno, zło to było już zbyt zakorzenione, i aby osiągnąć rezultat należało przedsięwziąć walkę bardziej radykalną. Per Wieselgren stał się nowym bojownikiem i przywódcą tego ruchu.

Wieselgren był pastorem, historykiem literatury i członkiem Akademji, był on jednym z najznakomitszych ówczesnych Szwedów. Urodzony w roku 1800 w domku chłopskim w okolicy miasta Wäxio, pochodził ze starej rodziny chłopów szwedzkich, która od stuleci obrabiała ziemię swą w pocie czoła. Rodzice Pera byli bardzo nabożni, tak jak naogół chłopi szwedzcy, wysłali chłopca do miasta, gdzie ukończył szkoły średnie, a potem uniwersytet w mieście Lund. Trzy lata później był już czynny jako magister filozofji w tem mieście uniwersyteckiem, rok później, jako docent i asystent profesora. W roku 1833 Wiselgren został mianowany pastorem w małej gminie wiejskiej, a po 14 latach objął pastorat w mieście Hälsingborg na południu Szwecji. Ostatnie 20 lat życia spędził jako proboszcz katedry w Gothenburgu. 10 października 1877 roku zmarł ten sędziwy bojownik, co było niepowetowaną stratą dla ruchu przeciwalkoholowego w Szwecji.W ciągu całego swego życia pracował niezmordowanie nad zwalczaniem alkoholizmu, z początku jako duszpasterz swych gmin, a od roku 1855, jako kierownik propagandy szwedzkiego stowarzyszenia przeciwalkoholowego. Na tym stonowisku miał możność podróżować po całej Szwecji i wszędzie nawoływał do walki z alkoholizmem.

W Sztokholmie powołano w roku 1830 do życia Związek Przeciwalkoholowy pod przewodnictwem innej jeszcze znakomitej osobistości, a mianowicie Samuela Owena, naturalizowanego Anglika i prezesa szwedzkiej Akademji Umiejętności. Owen i jego przyjaciele nazwali swe stowarzyszenie „Związkiem Abstynenckim Kungsholmu“. Kungsholm była to nazwa dzielnicy miasta, którą zamieszkiwali, a oznaczała „wyspa królewska“. Ruch przeciwalkoholowy nabrał raptem rozmachu. Jak burza przeszedł on poraz wtóry ponad Szwecją, silnie popierany przez najbardziej znakomitego za owych czasów dziennikarza Larsa Hohana Hiertę. Im bardziej rozwijał się ruch, tem bardziej wskazana była ścisła współpraca pomiędzy stowarzyszeniami lokalnemi. W roku 1837 stworzono szwedzkie „Towarzystwo Wstrzemięźliwości“, które obejmowało wszystkie organizacje prowincjonalne.

Patronem tego stowarzyszenia został Król Karol Jan XIV i w zarządzie zasiadały najwybitniejsze osobistości. Odbywały się wielkie zgromadzenia, mówców wysyłano na prowincję, rozsyłano niezliczoną ilość ulotek. Całą tę akcję umożliwiały dobrowolne ofiary. Największe imprezy ruchu przeciwalkoholowego odbywały się w maju, który był specjalnym miesiącem walki. Przy tak intensywnej pracy nie mogło

zbraknąć sukcesu i podczas gdy dawniej wypadało 46 litrów na głowę, cyfra ta w latach od 1830 do 1850 spadła na 12,5 litrów wódki.

Abstynenci nie ustawali w walce. Szwedzki następca tronu Oskar, późniejszy król Oskar I, popierał ruch ten całym swym autorytetem, i lotem ptaka obiegło kraj, jego powiedzenie wygłoszone publicznie: „żadna cena nie byłaby mi zbyt wysoka, aby wybawić naród mój od alkoholizmu".

Ruch szwedzki zwracał się nie tylko do możnych swego państwa, powołano do współpracy również ciało medyczne. Lekarze oświadczyli: „Jesteśmy przekonani, że wódka dla zdrowego człowieka jest nie tylko zbyteczna, ale nawet szkodliwa, gdyż alkohol nie zawiera żadnych śródków odżywczych, że codzienny użytek wódki doprowadza do alkoholizmu, że wódka powoduje wiele chorób, pogarsza wiele chorób lub uniemożliwia ich leczenie. Użycie alkoholu doprowadza do przestępstw, do biedy, nędzy i wcześniejszej śmierci. Zupełna abstynencja, o ile użycie alkoholu nie jest zalecane przez lekarzy jako lekarstwo, uzdrowiłaby nasz naród i pozwoliłaby mu być szczęśliwym i moralnym".

Szwedzki ruch przeciwalkoholowy był stworzony przez inteligencję i ona też przedewszystkiem prowadziła tę walkę. Ale jeszcze nie udało się oswobodzić szerokich mas od zgubnego wpływu alkoholu. Przedewszystkiem chłopi stawiali gwałtowny opór. Chłop szwedzki od niepamiętnych czasów był człowiekiem wolnym i przyzwyczajony był robić to, na co miał ochotę. Żądanie inteligencji, aby zrezygnował z alkoholu, odczuwał on jako wkroczenie w jego wolne ludzkie prawa, gdyż chciał pić alkohol, o ile mu się tak podobało. W stanowym parlamencie szwedzkim odbywały się zażarte walki pomiędzy chłopami i przedstawicielami inteligencji, gdyż inteligencja złożyła podanie, aby zabronić prywatnej fabrykacji wódki dla potrzeb domowych.

Na ten czas przypada również zorganizowanie różnych towarzystw, które wykupywały karczmy. Karczmy prowadzono wprawdzie dalej, lecz statuty zabraniały sprzedaży wódki na kredyt, pozatem nie wolno było sprzedawać wódki osobom nietrzeźwym, oraz dzieciom.

Ruch walczył dalej. Uzyskano wielkie zwycięstwo, ale jeszcze większe zadania należało rozwiązać. Następnym punktem programu był absolutyzm. Jednocześnie ruch otrzymał cenną pomoc ze strony sekt ewangielickich „wolnoreligijnych", które uważały alkohol jako środek stosowany przez djabła dla wyniszczenia ludzkości. W gminach t. zw. wolnych kościołów odbywają się wszędzie kazania przeciw alkoholizmowi i nowi bojownicy idei napływają. Ruch absolutystyczny powstał dzięki nowemu wrogowi. Zamiast pić wódkę, zaczęto pochłaniać piwo. Ruch staje się silniejszy z roku na rok. Zwalczono wódkę. Teraz należy podjąć walkę ze wszelkimi napojami alkoholowymi. Nadeszły czasy zakonów. Niezależny Zakon Dobrych Templarjuszy (I. O. G. T.) kroczy w pochodzie zwycięskim przez cały świat, poczynając od swej najpierwotniejszej ojczyzny — Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Ruch ten zaczyna rozwijać się również w Szwecji. Wzrasta on jak lawina. W roku 1880 tworzy się Zakon mający 600 członków, lecz już w następnym roku Wielka Loża zgromadziła 1.100 osób i w ciągu 7 lat liczba członków wzrasta i osiąga ponad 20.000. W roku 1891 jest ich ponad 40.000, 1901 już 97,000, zaś w roku 1911 152,000.

Oprócz I. O. G. T. powstają także inne loże z tym samym prawie programem, jak np.: „Zakon Templarjuszy“ — „Verdanisorden“, Związek „Armja Nadzieji“ — „Niebieska Wstążka“, Związek młodzieży akademickiej i t. d. Organizacje te rozwijają się coraz bardziej i stały się twierdzą ruchu przeciwalkoholowego. Ruch ten obejmował setki tysięcy członków.

Ruch ten rozwijał się także drogą korporacji, tak np. kolejowcy zjednoczyli się w liczbie 5.000. Związek ten utworzony został w roku 1901, cztery lata później nauczyciele powołali do życia własną organizację, do której dzisiaj należy większość nauczycielstwa. W r. 1909 miała miejsce wspaniała demonstracja przeciwalkoholowa, podczas której na wszystkich dworcach kolejowych rozwieszono plakaty, wykazujące straszne skutki alkoholizmu.

Teraz organizacja walki z alkoholizmem stała się tak silna, że mogła wymierzyć złu temu nowy cios — prohibicję, ogólny zakaz alkoholu. Potajemnie pracowano nad tym. W roku 1909 sprawa ta nie była jeszcze dość dojrzała, ale pracowano nadal. W r. 1917 Komitet dla spraw alkoholowych zaproponował w parlamencie nową ustawę sprzedaży alkoholu, opierając się na wywodach Dr. Ivana Bratt‘a. Propozycję tę parlament przyjął, poproszono jednak Komitet, aby opracował nowe propozycje. W roku 1920 Komitet ukończył swe prace i aby móc ocenić, jaką przyszłość może mieć prohibicja, rozpisano plebiscyt. Odbył się on dnia 17 marca 1922 roku i przeciwnicy prohibicji mieli tylko o 36.000 głosów więcej od jej zwolenników.

Szwedzki ruch przeciwalkoholowy pokazał w roku 1822, jak jest silny. Od tego czasu upłynęło 15 lat i ruch staje się coraz silniejszy. W Szwecji przybrał on rozmiary, jakich nie ma w żadnym innym kraju. Szwedzki Zakon Dobrych Templarjuszy jest największy. Istnieje wielka liczba pism dla walki z alkoholizmem, najbardziej znane jest pismo „Reformatorn“. Propaganda dla dzieci przeprowadzana jest zapomocą specjalnego dziennika „Kropla Rosy“, dorosła młodzież ma swe pismo „Młode Myśli“, inny wielki tygodnik nazywa się „Kultura Ludu“. Szwedzcy abstynenci mają swe własne Kasy Chorych, własne organizacje młodzieżowe, własne organizacje dokształcające i czytelnie, własne towarzystwa wydawnicze. Są oni jakby państwem w państwie, są cennym współczynnikiem, z którym należy się liczyć i który trzeba cenić i szanować. Dzisiaj nikt już z nich się nie śmieje. Służyli i służą swemu krajowi, jak mało kto. Ich poprzednicy uratowali naród, ich następcy mają wielką misję do spełnienia.

Znaczenie absolutystów Szwecji uwidacznia się również cyfrowo, kilka takich cyfr podajemy dla ilustracji naszych wywodów:

Za ogólny dzień walki z alkoholem uznano Wniebowstąpienie Pańskie. Zespolenie tego „dnia przeciwników alkoholizmu“ ze świętem kościelnem, wykazuje na ścisłą współpracę z kościołem. W roku 1937 dnia tego odbyły się w 900 miejscowościach zebrania i sprzedano 95.000 „białych róż“ t. j. odznak związkowych. Więcej niż 200.000 osób wzięło udział w zebraniach. W wolno-religijnych gminach odbyło się w roku 1936 nie mniej niż 1928 odczytów przy 110.532 słuchaczach. 20.000 dzieci zaznajomiono w ubiegłym roku ze szkodliwością alkoholu, zapomocą lotnych odczytów. Pismo „Dobro Narodu“, które jest or-

ganem chrześcijan abstynentów wychodzi w 60.000 egzemplarzy. Pozatem w Szwecji istnieje pismo codzienne „Szwedzki Kurjer Poranny", które ukazuje się w Sztokholmie i które ma w swym programie bezwzględną walkę z alkoholizmem.

Związek Centralny dla nauki o alkohologji otrzymał w roku 1936 subwencję rządową w wysokości 115.000 Kr., a prawie tak samo wysoką subwencję otrzymało pismo Związku Centralnego „Tirfing".

I. O. G. T. największa z lóż ma 125.238 członków, podzielonych na 2.041 lóż. Do tego dochodzą jeszcze 1.241 oddziałów młodzieżowych z ilością 67.013 członków. Pismo Związkowe nazywa się „Reformatorn" i jest największem pismem Szwecji. Własna Firma Wydawnicza miała w roku 1936-ym 429.589 Koron obrotu. Drugą największą organizacją jest Narodowy Zakon Templarjuszy mający 53.589 członków, podzielony na 1.439 lóż: Najmniejszym związkiem abstynentów w Szwecji, jest Związek Lekarzy mający 62 członków. Razem miały organizacje powyższe w r. 1936 325.159 członków. 6 największych organizacyj miało dochodu 1.190.211 koron, zaś wartość domów własnych i budynków wynosi, nisko policzywszy 28.160.000 szw. koron.

Jeżeli doliczyć jeszcze do tych cyfr dochody 20.730.000 koron oraz majątek ponad 55 miljonów koron, jaki posiadają szwedzkie gminy kościelne, liczące 350.251 członków, a współpracujące z abstynentami, będziemy mieli dopiero prawdziwy obraz stanu finansowego tych instytucyj.

Są to zawrotne sumy, jakiemi rozporządzają w Szwecji abstynenci w walce z wrogiem narodu Nr. 1, w walce prowadzonej przez 765. 416 osób, a więc przez $^1/_{10}$ ludności Szwecji.

Przekł. z niem. rekopisu *L. G.* *Peter Hök.*

Z FRONTU WALKI Z NARKOTYKAMI.

Obrót środkami odurzającymi w Egipcie w r. 1936 *).

Sprawozdanie roczne Centralnego Biura Informacyjnego o narkotykach za r. 1936 jest ósmym z tej serji. Wydany pod auspicjami rządu egipskiego obszerny 200-o stronicowy tom rozpoczyna się od wstępu pióra p. T. W. Russell paszy, dyrektora Biura Narkotyków i szefa policji w Kairze. Określa on cel wydawnictwa, którym jest zdać sprawę z wysiłków zarówno Biura, jak i innych władz administracyjnych państwa, oraz dać pojęcie ogólne o ustosunkowaniu się do zagadnienia obrotu środkami odurzającymi.

Autor kładzie szczególny nacisk na dwa punkty, które uważa za zasadnicze: pierwszym jest wzmocnienie nadzoru nad kanałem Suezkim, z którego korzystają handlarze heroiny, przybywający z portów Dalekiego Wschodu. Drugi stanowiłaby ścisła współpraca z takimi krajami, jak Stany Zjednoczone Ameryki i W. Brytania. Egipt nie powinien się wahać i ujawnić wobec Ligi Narodów znane mu fakty, dotyczące obecnej sytuacji na Dalekim Wschodzie.

*) Według Journal de Pharmacie de Belgique nr. 36 z września 1937 r.

Zdaniem p. Russella konieczne jest zwiększenie etatów policyjnych w celu skutecznej walki z nielegalnym obrotem narkotykami. Zaznacza on zastraszający wzrost nielegalnej uprawy maku i haszyszu; chłop, który dawniej siał pojedyncze rośliny na polach kukurydzy i trzciny cukrowej, obecnie się rozzuchwalił i nie waha się uprawiać wielkich przestrzeni pośród innych plantacyj.

Najlepszym sposobem wykrywania tych nadużyć jest ścisła współpraca z wojskowym korpusem lotniczym. Samoloty, krążące nisko nad plantacjami, z łatwością wykrywają pola makowe w okresie kwitnienia, gdyż białe kwiaty maku wyraźnie odcinają się na otaczającym zielonym tle innych upraw. Biegły fotograf lotnik, towarzyszący pilotowi, robi zdjęcia podczas lotu; sporządzone przez niego klisze pozwalają na dokładne określenie miejsca popełnionego nadużycia. Wysłany oddział policji spisuje protokół i niszczy nielegalne plantacje. Sposób ten okazał się niesłychanie celowy, autor proponuje jego szersze zastosowanie.

Po wstępie sprawozdanie zawiera opis wszystkich ujawnionych przypadków nielegalnego obrotu środkami odurzającymi, którymi władze egipskie zajmowały się w ciągu roku. Dokonane konfiskaty były liczne. Wydawnictwo zawiera wykaz pociągniętych do odpowiedzialności, opisuje okoliczności i warunki, w jakich nastąpiły aresztowania i podaje kary, na jakie skazano winnych.

Krótki i ciekawy rozdział przytacza najrozmaitsze sposoby, do jakich uciekają się potajemni handlarze narkotyków; pomysłowość ich jest niewyczerpana. Narkotyki były chowane w obuwiu o podwójnej podeszwie, pod kolanami, pod pachami, w odbytnicy, pod uwłosieniem wielbłądów, w daktylach, wysyłanych koleją i t. d.

Dla interesujących się historją farmacji ciekawy będzie rozdział, zatytułowany: „narkomanja przed czterema wiekami". W książce arabskiej El Minan, której autorem jest El Imam El Chaarani, zmarły w r. 1565, znajdujemy wzmiankę, że haszysz był znany za czasów El Imama El Mazni w latach 791—877. Opis kliniczny zatrucia haszyszem jest wprost wyjątkowy, zarówno pod względem przytoczonych objawów czysto fizycznych, jak i znajomości czynników psychologicznych, odgrywających tak ważną rolę przy przeprowadzaniu kuracji odwykowej.

Dyrektor Biura Narkotyków stwierdza na zakończenie, że walka z nielegalnym obrotem narkotykami nie jest wystarczająca. Trzeba znaleść przyczyny, dla których chłop egipski popada w nałóg, chłop, którego zdrowie i żywot pracowity były dotychczas czynnikiem dobrobytu narodowego. Jest to tem więcej zastanawiające, że okolice, jak Liban, Palestyna, Syrja, pozostają nietknięte tą klęską. Autor przypuszcza, że przyczyn narkomanji należy się doszukiwać w nasileniu chorób zakaźnych jelit. Choroby te działają fatalnie na siły fizyczne i rozrodcze. Stąd chęć znalezienia sztucznego środka podniecającego, który ma przeciwdziałać zmniejszeniu energji indywidualnej. Jest rzeczą prawdopodobną, że nasilenie tych chorób jest wywołane zmianami w sposobie nawadniania ziemi. Nawodnienie odbywało się dawniej przy pomocy zbiorników ruchomych; system ten zapewniał doskonałą dezynfekcję pól i kanałów dzięki działaniu słońca w lecie. Obecnie stosuje się system stałego nawadniania, będącego źródłem wilgoci, niezmiernie sprzyjającego wylęganiu się zarodków. Skądinąd zostało stwierdzone, że

podniesienie poziomu wody i spadek chorób zakaźnych odpowiadają krzywej równoległej, należy zatem zwrócić uwagę publiczną na ten punkt, aby właściwe środki były przedsięwzięte.

Russell pasza występuje z całą gwałtownością przeciwko tezie, w myśl której chcianoby zezwolić chłopom na „umiarkowane" używanie haszyszu i opjum. Uważa, że tego rodzaju uchwały wywołałyby katastrofę; przeciwnie, należy starać się usilnie o wykrycie przyczyn narkomanji i ich ostateczne zwalczenie.

Tyle autor sprawozdania. Cokolwiek odmiennie na sprawę narkomanji w Egipcie zapatruje się dr. Fischer, profesor zurychskiego instytutu farmakologicznego, który w „Schweizerische Medizinische Wochenschrift" przypisuje powstanie tej narkomanji wyłącznie czynnikom politycznym. Przypomina on, że „kilka lat temu w Egipcie dokonano planowego zatrucia opjumem całego kraju". Władze nie zwróciły na to w porę uwagi, i Egipt, gdzie 5 lat temu palenie opjum było nieznane, dzisiaj ma kilkaset tysięcy opjumistów. Zatrucia tego dokonali podobno Japończycy. Ten osobliwy rodzaj ofensywy odczuwają Chiny, a także Stany Zjednoczone i Kanada. Do krajów zachodnich Japończycy wywożą głównie narkotyki, wyrabiane z opjum, jak heroinę i t d. — Poza względami handlowemi bodźcem zdaje się być chęć wyrządzenia szkody drogą zwyrodnienia rasy. Podobne przypadki są znane w Europie z tą różnicą, że środkiem zwyradniającym jest eter.

Przemyt narkotyków z Dalekiego Wschodu do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Opis przypadku przemytu, w który wmieszany jest między innymi obywatel polski, podaje Biuro Narkotyków przy Ministerstwie Skarbu Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej w sprawozdaniu za rok 1936, dotyczącym obrotu środkami odurzającymi.

W sierpniu 1936 r. celnik w San Pedro, Kalifornia, rewidując bagaż Chinki nazwiskiem Molly Mary Wendt, przybyłej na statku japońskim Heiyo Maru, zauważył, że dno jej kufra ma nie zwykłe kanty okrągłe. Gdy włożył ostrze noża w bok kufra, posypał się biały proszek, który po zbadaniu okazał się niefałszowaną heroiną w ilości około 54 funtów. Heroinę, opakowaną w woreczki jedwabne bez etykiet, zajęto. Panna Wendt, prawdziwe jej nazwisko brzmi Wen, została natychmiast aresztowana, ale ponieważ obiecała współdziałanie z urzędnikami celnymi, w celu wykrycia nadawców transportu, nie osadzono jej w więzieniu, tylko pod strażą umieszczono w hotelu. W 3 dni później zmyliła ona czujność straży i uciekła z hotelu. Okazało się, że samolotem wyjechała do Nowego Yorku, a stamtąd zamierzała na statku „Deutschland" udać się do Europy. Aresztowano ją w chwili odjazdu statku i przewieziono do Los Angeles (San Pedro), gdzie była oddana pod sąd.

Władze śledcze stwierdziły, że do sprawy wmieszani są niejaki Al Stey z Szanhaju oraz Brandstetter, tego ostatniego zidentyfikowano jako Naftalego Loeffelholz Brandstettera, obywatela polskiego, któ-

ry ostatnio mieszkał w Szanhaju, gdzie kierował poważną szajką międzynarodową. Brandstetter opuścił Szanhaj w maju 1936 i przybył na Kubę via Rzym i Barcelonę. W lipcu stanął w Hawanie, dokąd przywiózł 4 ciężkie kufry. Z Hawany samolotem przybył do Meksyku, ale władze meksykańskie, uprzedzone, że jest to niebezpieczny handlarz narkotykami, odmówiły mu prawa lądowania i zmusiły do powrotu do Hawany tym samym samolotem, którym przybył. Jako niepożądanego cudzoziemca władze kubańskie wysiedliły go i statkiem Oriente wysłały do Nowego Yorku, gdzie czekał na niego już rozkaz aresztowania. Mimo czujnego nadzoru Brandstetter popełnił samobójstwo przez powieszenie we wrześniu 1936 r.

Dochodzenia, przeprowadzone w Szanhaju, doprowadziły do stwierdzenia, że trzeci wspólnik Al Stey, obywatel francuski, pochodzący z Alzacji i Lotaryngji, był zatrudniony w szpitalu Palun, gdzie panna Wendt pełniła funkcje pielęgniarki. Władze szpitalne po otrzymaniu informacji o związku Al Stey z organizacją Brandstetlera zwolniły go. Wkrótce potem znaleziono go umierającego na pustym placu w oddalonej części koncesji francuskiej Szanhaju. Tej samej nocy zmarł w szpitalu, nie poczyniwszy żadnych zeznań. Przyczyną śmierci była trucizna. Jest rzeczą wątpliwą, aby popełnił samobójstwo; prawdopodobnie usunięto go jako niewygodnego świadka, mogącego zdradzić nazwiska pozostałych osób wmieszanych w tę sprawę.

W grudniu roku 1936 odbyła się rozprawa przeciwko Marji Wendt (Wen), oskarżonej o przemyt i ukrywanie narkotyków, zakończona wyrokiem skazującym ją na 10 lat więzienia.

Powyższy krótki i suchy opis nastręcza następujące uwagi: 1) łatwość przenoszenia się z miejsca na miejsce kosztownym środkiem lokomocji, jakim jest samolot; 2) brak jakichkolwiek trudności paszportowych, lub dewizowych i 3) smutny koniec wszystkich uczestników tej błahej napozór sprawy: jedno zabójstwo, jedno samobójstwo i długotrwałe więzienie.

Leczenie narkomanów w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

W obszernem sprawozdaniu Rządu Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej o obrocie opjum i innymi środkami niebezpiecznymi dla zdrowia za r. 1936, wydanem przez Biuro Narkotyków przy Departamencie Skarbu Stanów w Waszyngtonie, znajdujemy ciekawy rozdział o leczeniu narkomanów. Leczenie to odbywa się w zakładzie specjalnym w Lexington Ky, którego budowa była rozpoczęta w styczniu r. 1932 na podstawie uchwały Kongresu z r. 1929 na terenie 1.000 akrów powierzchni. W maju 1935 r. odbyło się otwarcie Zakładu.

Zakład jest przeznaczony dla 1.000 chorych mężczyzn i już w końcu r. 1936 był całkowicie zapełniony. W planie przewidziana jest rozbudowa Zakładu z przeznaczeniem dodatkowych pomieszczeń dla kobiet narkomanek. W ciągu roku kalendarzowego 1936 wykończono plany budowy drugiego podobnego zakładu w Fort West, Texas, którego kamień węgielny miał być położony w początkach r. 1937. Zakład ma być zbudowany na terenie powierzchni 1.400 akrów w Forest Hills około 6

mil od Fort West, według planów cokolwiek odmiennych od Lexington. Przewidywany system jest pawilonowy. W zakładzie mają znaleźć pomieszczenie chorzy spokojniejsi i wymagający mniej złożonego leczenia, podczas gdy w Lexington będą zgrupowani chorzy trudni i niespokojni.

Najbardziej podatny grunt dla narkomanji stanowią jednostki psychopatyczne lub te, u których osobowość odbiega od normalnej. Po odbyciu kuracji są one najbardziej skłonne do recydywy. Znaczna część literatury, dotyczącej narkomanji, była poświęcona dyskusji na temat leczenia odwykowego tak, jakby ta metoda zajmowała przodujące miejsce w traktowaniu zagadnienia narkomanji. Gdyby tak było istotnie, zagadnienie można byłoby rozwiązać nader szybko. Najważniejszą częścią leczenia jest jednak nie fizyczne pozbawienie narkotyku, ale zmiana nastawienia jednostki, tak aby pacjent nie odczuwał ponownie potrzeby szukania ulgi w udręczeniach życiowych, uciekając się do środków odurzających. Odbudowa osobowości nie może być dokonana w ciągu kilku tygodni, w niektórych przypadkach nie może być dokonana wcale.

O charakterze narkomanji, o której faktycznie dotychczas nic nam nie jest wiadome, zbudowano szereg teorji w związku z objawami pozbawiania narkotyku i na podstawie tych teorji opracowano kilka systemów leczenia, które mają być specyficznemi. Metody stosowane w Lexington są rozmaite, zależnie od wskazań lekarskich. Zazwyczaj chorego pozbawia się narkotyku w sposób nagły, zastosowując wzamian leczenie podtrzymujące. Pacjenci starsi lub przyzwyczajeni oddawna do zażywania narkotyków są odzwyczajani nie raptownie, tem nie mniej szybko, dzięki niewielkim dawkom morfiny lub kodeiny, lub obu tych środków. Stosowana jest zasada, że pacjentów takich należy pozbawiać narkotyku szybko, ale nie doprowadzać do zapaści lub nadmiernych cierpień. Zabiegi podtrzymujące, jak kąpiele ciepłe i stosowanie paradelhydu, podawanie glukozy, łagodzą objawy subjektywne. Leczenie, oparte na obecnej wiedzy, polega na szybkim odjęciu narkotyku w ciągu mniej niż 14-tu dni z dodaniem zabiegów podtrzymujących. Te zabiegi są uzupełniane usilnymi staraniami w kierunku skorygowania uleczalnych defektów moralnych i fizycznych tak, aby chory nie miał widocznego usprawiedliwienia dla używania i nadużywania narkotyków.

Po tych staraniach ze strony lekarzy następują inne, mające przywrócić choremu równowagę uczuciową i umysłową, co jest szczególnie ważne po zwolnieniu chorego z leczenia zakładowego. Również czynione są wysiłki, aby pacjentów zatrzymywać dość długo w zakładzie, dzięki czemu ustala się maximum osiągniętych wyników leczenia i daje się chorym możność pozbycia się dawnych złych nawyków.

Osoby interesujące się sprawą leczenia narkomanów znajdują wiele ciekawych myśli i wskazówek w sprawozdaniu dra Lawrence Kolb'a, dyrektora lekarskiego w zakładzie dla narkomanów w Lexington Ky, opublikowanym przez Służbę Zdrowia Publicznego Stanów Zjednoczonych.

Dr. Kolb pisze między innymi: ,,Wielu chorych na gruźlicę płuc wpadło w nałóg narkomanji dzięki nadmiernemu zapisywaniu narkoty-

ków na kaszel. Nasze doświadczenia wskazują, że tego rodzaju postępowanie ze strony lekarzy może być usprawiedliwione tylko w wypadkach tak daleko posuniętej choroby, że bliski zgon jest nieunikniony. Nasi chorzy gruźlicy, zyskują na wadze po odjęciu im narkotyków i nie kaszlą więcej, niż wówczas, gdy je otrzymywali. Jako przykład morfinomanji i kuracji odwykowej u chorych gruźliczych może służyć człowiek starszy, lekarz, który przybył do zakładu ze średnio zaawansowaną gruźlicą i nałogiem narkomanji. W ciągu pierwszych 2 miesięcy po odjęciu narkotyków był cokolwiek osłabiony, ale później zaczął przybierać na wadze i nabierać sił tak, że w chwili gdy opuszczał szpital po 7-o miesięcznym pobycie, nadwyżka wagi wynosiła 50 funtów".

Niezmierne ciekawe są dołączone do sprawozdania krótkie raporty szpitala państwowego dla narkomanów w Spadra, Kalifornia, i Stowarzyszenia Szkolenia narkomanów w Michigan. Na podstawie 8-io letniego doświadczenia dyrektor pierwszego z nich, dr. Young, zastanawia się nad sprawą uleczalności narkomanji i przychodzi do przekonania, że w okresach pierwotnych jest ona uleczalna, ale szybko przechodzi w stan nieuleczalny, wymagający odosobnienia ze względu na zagrożone bezpieczeństwo publiczne i zgubny wpływ narkomanów na otoczenie. Uważany w Ameryce za powagę, dr. Musgrove powiada: „Narkoman jest 10 razy niebezpieczniejszy i 10 razy bardziej zaraźliwy od zarażonego trądem z tą różnicą, że zaraża duszę zamiast ciała".

„Urzędnicy, mający sobie powierzoną walkę z narkomanją w Kalifornji", pisze dr. Young, „wyrażają przypuszczenie, że około 80% narkomanów ma zatarg z kodeksem karnym, jedni skutkiem anormalnych właściwości charakteru, inni z chęci zaspokojenia nałogu narkotyzowania się".

Kuracja odwykowa w przypadkach narkomanji *).

Wszystkie prawie środki stosowane przy kuracjach odwykowych narkomanów są niezmiernie przykre. Wyjątek stanowi stosowanie lecytyny. Wen Chao-Ma i jego koledzy, którzy tą metodą leczyli znaczną liczbę chińskich palaczy opjum, stwierdzili, że, jakkolwiek chory pali w dalszym ciągu te same ilości opjum, po paru dniach dzięki leczeniu odczuwa mniejszą potrzebę narkotyku. Metoda ta jest stosowana w Indiach angielskich, w szczególności w szpitalu chorób podzwrotnikowych w Kalkucie. Lekarze tego szpitala R. N. i G. S. Chopra mieli pod swoją opieką 100 chorych w wieku od 20 do 70 lat, z których 80 w szpitalu, a 20 w leczeniu prywatnem. W tej liczbie było 2 palaczy opjum, 1 morfinista, reszta żuła opjum.

W ciągu 5-ciu pierwszych dni leczenia chorzy otrzymywali 3 razy dziennie po pigułce zawierającej około 60 gr. lecytyny. Równocześnie chory otrzymuje rano po przebudzeniu w ciągu pierwszych 3 — 4 dni zastrzyk dożylny 25 cc. roztworu glukozy 25%. W ciągu następnych dni glukoza jest podawana doustnie.

Po przeprowadzonej kuracji chorzy pozostają pod obserwacją trwającą 10 do 20 dni.

*) Journal de Pharmacie de Belgique nr. 34 z 22 sierpnia 1937 r.

Najlepsze wyniki otrzymano u młodych narkomanów, oraz u tych, którzy nie wykazują jeszcze głębszego przyzwyczajenia do narkotyku. Autorzy wyrażają przekonanie, że tą metodą leczenia można wyleczyć 97% chorych, u 10% dawka zmniejszy się o $^{4}/_{5}$. W 2,5% przypadków kuracja zawiodła całkowicie, w 2,5% — nastąpiła recydywa w ciągu 6 miesięcy następujących po leczeniu. Lecytyna i glukoza zmniejszają ryzyko kuracji odwykowej i z tego tytułu mogą wzbudzić zainteresowanie terapeutyczne.

Marja Sokalówna.

PRZYCZYNKI DO ZAGADNIENIA ALKOHOLIZMU.

Rozkaz Saint - Just'a.

Emmanuel Aegerter w „La vie de Saint-Just" *) podaje następujący szczegół z życia słynnego rewolucjonisty francuskiego. Delegowany w roku II-im Republiki w charakterze prokonsula z ramienia Konwentu wspólnie z Le Bas'em do armii wschodniej wydaje zarządzenie następujące:

„Szef 1-go bataljonu grenadjerów Saône i Loire ruszył pijany do ataku na most Khel, wobec czego niniejszym zostaje zdegradowany i wysłany jako strzelec do jednego z pułków straży przedniej. Strasburg, dnia 5 Brumera roku II Republiki jednej i niepodzielnej".

Była to chwila dla Francji tragiczna: prócz walk wewnętrznych musiała staczać boje z potężną koalicją europejską. Przegrana na froncie oznaczała obcy zabór i ruinę. I w takiej chwili potężni członkowie Konwentu myślą również i o innym wrogu, który zagraża armji i Francji. Walczą z alkoholizmem w armji, czego dowodem jest przytoczone zarządzenie.

Jest to incydent drobny, ale można z niego wyciągnąć ważną i zasługującą na naśladowanie naukę. Trzeźwa armja w trzeźwem społeczeństwie zwycięży wszystkich wrogów choćby byli w przeważającej sile.

Armja francuska, zdziesiątkowana chorobami i rozkładem wewnętrznym, źle zaopatrzona, pozbawiona należytego dowództwa, w ostatecznym wysiłku zwyciężyła.

Lindbergh.

Karol Lindbergh, znakomity lotnik amerykański, który w roku 1927 pierwszy przeleciał ocean Atlantycki, jest zupełnym abstynentem. W jego biografji p. t. „Vie de Lindbergh" (Dale van Every i Morris de Haven Tracy, Paryż, Payot 1927), czytamy, że nie pali i nie używa nigdy napojów alkoholowych.

Wobec dwudziestu dziennikarzy, którzy przybyli do Paryża z rozmaitych krajów świata, aby go powitać i usłyszeć z jego własnych ust

---

*) Emmanuel Aegerter „La vie de Saint-Just" (Życie Saint-Just'a) (Collection Vies des hommes illustres Nr. 38). Paryż 1929, Librairie Gallimard, str. 147.

szczegóły tego trudnego wyczynu, oświadczył między innymi: „Na przestrzeni 1500 kilometrów walczyłem z mgłą, deszczem i gradem, tym największym wrogiem komunikacji powietrznej. Trzecią część lotu, trwającego 34 godziny, musiałem odbywać w nocy. Chwilami leciałem na wysokości 3 metrów ponad wodą, poczym musiałem wznosić się na 3000 metrów. Nie chciało mi się spać i nie zażywałem kofeiny, ani żadnych innych środków podniecających. Piłem tylko wodę". Cała przestrzeń przebyta przez Lindbergha wynosiła 5.700 kilometrów.

Pierwsze jego słowa po wylądowaniu w Le Bourget pod Paryżem były: „Proszę zatelegrafować do mojej matki".

Marja Sokalówna.

PRZEGLĄD PRASY.

Alkohol.

Trudno byłoby sobie wyobrazić obecnie artykuł wstępny na temat inny, niż o „kaperowaniu" najlepszych piłkarzy naszych przez paryski „Racing". Około tej sprawy, w gruncie rzeczy doprawdy nie tak ważnej, aby ją koniecznie należało postawić na pierwszy plan — powstała już cała literatura. żądne sensacji pisma krajowe i zagraniczne zadęły w najpotężniejsze swoje waltornie i puzony. Zrobił się wielki krzyk. W istocie — przynajmniej według tego, co dotychczas zostało oficjalnie ustalone — było to wiele hałasu o nic. Nie w tem jednak rzecz i nie o tem zamierzam pisać. Przyznaję się najzupełniej szczerze, że nie widziałbym nieszczęścia, gdyby kilku młodych ludzi, obdarzonych wybitnym talentem w nogach, postanowiło talent ten wyzyskać finansowo, tak jak inni spieniężają zdolności, zawarte w szarej tkance mózgowej. Nikt nie miałby ani „paragrafowego", ani moralnego prawa stawać im w tem na przeszkodzie, i niktby na tem tak wiele nie tracił: cóż naszemu sportowi amatorskiemu po ludziach, którzy nie mają w sobie ducha sportowego? A raczej — ducha olimpijskiego, bo przecież zawodowcom trzeba przyznać, że pod względem ducha sportowego stoją bardzo wysoko. Starczy pomyśleć — uczyniłem to właśnie, słuchając przez radjo koncertu, w którym występowała jego córka — o takim Thorwaldzie Ellegaardzie, ośmiokrotnym mistrzu świata...

Wypadek paryski interesujący jest z innych względów: z uwagi na metodę, zastosowaną przez francuskich „handlarzy żywym towarem" i z uwagi na pewne okoliczności, zastosowaniu tej metody sprzyjające.

Metoda, do której uciekli się myśliwi z „Racing Clubu", byłaby napewno odrzucona ze wstrętem przez takiego Ellegaarda, przez managerów starych angielskich klubów zawodowych. Bo ci — są czystej wody sportowcami, mającymi fair-play we krwi. Sposób panów z Paryża— to są praktyki nie „zawodowców", a klubów pseudoamatorskich, które się zżyły już zupełnie z fałszem, kłamstwem, przekupstwem i podstępem. Zawodowstwo jest we Francji bardzo świeżej daty; dlatego, pokutują jeszcze nawyki z czasów profesjonalizmu ukrytego. Pseudoamatorstwo

— oto jest trucizna, największe w organizmie sportowym siejąca spustoszenia!

Lecz znów odbiegłem od tematu. Uderzyło mnie mianowicie, że wśród niezliczonych artykułów na temat ewenementu paryskiego, nie znalazłem ani jednego, któryby mówił o najważniejszej, występującej w tym dramacie... albo w tej tragifarsie osobie. Na imię jej — alkohol!

Czyżby doszło wogóle do całego tego skandalu, gdyby nasi kochani gwiazdorzy nie dali się z taką łatwością wprawić w stan, którzy francuzi określają powiedzonkiem: „ivre comme un Polonais“ — pijany jak Polak?

Niedawno, z powodu zastosowania w jakiejś reklamie tego proverbium—zrobiono u nas całą hecę. A przecież... niema dymu bez ognia!

Ivre comme un Polonais: czyż nie mieli prawa tak powiedzieć Rumuni, obserwując popisy pp. Tarłowskiego i Bratka?

Chciałbym widzieć tego reprezentanta Anglji, Niemiec czy Finlandji, któregoby agenci „Racing Clubu“ potrafili tak ululać, by przez kilkanaście godzin nie mógł powrócić do przytomności!

Uderzmy się w piersi. Niema u nas prawie zawodów sportowych, po których nie urządzonoby bankietu, czy choćby t. zw. skromnej herbatki, obficie zakrapianej produktami Monopolu Spirytusowego. Weszło niejako w tradycję — nawiązując do staropolskiej gościnności w jej najgorszem wydaniu z epoki króla Sasa — siły, zyskane dzięki uprawianiu zdrowych ćwiczeń cielesnych, zaraz tracić — z nawiązką — folgując niezdrowym instynktom cielesnym. Czynniki kierownicze naszego sportu zdają sobie, oczywiście, całkowicie sprawę z niewłaściwości tej haniebnej tradycji, lecz nie umieją się jakoś zdecydować na wypowiedzenie jej walki w naprawdę ostrej, naprawdę skutecznej formie.

Uczynić to koniecznie trzeba. Stawiam wniosek: każdy zrzeszony sportowiec, który ukaże się gdziekolwiek w stanie pijackiego zamroczenia, automatycznie zostaje zawieszony na 3 miesiące, za szkodzenie dobremu imieniu sportu polskiego. Jeśli zaś jest to kandydat olimpijski— zostaje automatycznie skreślony z zaszczytnej listy! I żadnych okoliczności łagodzących, żadnych amnestyj!

Tylko wtedy, jeśli to przeprowadzimy, będziemy mieli prawo się obrażać na dictum: ivre comme un Polonais!

Tylko wtedy będziemy mogli z całym spokojem, z całym optymizmem patrzeć w przyszłość!

Wiktor Junosza.

(„Sport Polski“, 10.XI. 1937).

Do N-ru tego załącza się treść pisma za rok 1937.

Następny Nr. „Trzeźwości“ ma się ukazać w końcu maja.

DRUK UKOŃCZONO DN. 28.IV. 1938.

POLSKA DRUKARNIA NAKŁADOWA, SP. Z O. O., SENATORSKA 17. TEL. 251-58.

TABLE DES MATIÈRES:

Polska Druk. Nakładowa. Sp. z ogr. odp., Warszawa, Senatorska 17. Tel. 251-58.